Nr 91 Kraków, Niedziela dnia 19 Kwietnia 1896. Rok IV

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie zł. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie zł. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicę:
miesięcznie zł. 2·—
Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Ogłoszenia:
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
w „Nadesłanem“
Wiersz zwykły 20 ct.
Sluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do udziału inseratów upełnomocniony *Jan Strycharski.*
Rękopisów redakcja nie zwraca.
Każda zmiana adresu 10 ct.

Adres Redakcji: **Kraków, ulica Krupnicza l. 11.**
REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.
Adres Administracji: **Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.**

Sprawa wiedeńska.

Wiedeń d. 17 kwietnia.
(List oryginalny Głosu Narodu).

(δ) W przeciągu niespełna roku przystąpi jutro wiedeńska Rada gminna po raz trzeci do wyboru prezydenta miasta. S''na, pod prezydenturą dra Prixa „żelazna“ większość niemiecko- albo raczej żydowsko-liberalna, doznała w zeszłym roku w kwietniu, przy wyborach z drugiego ciała wyborczego, silnego wstrząśnienia. Wybory te zdziałały, iż mniejszość antysemicka wzrosła z 46 na 62 mandatów, przyczem liberałowie zawsze jeszcze posiadali większość dziesięciu głosów. Antysemici, uznając większość liberalną, starali się wówczas o wyjednanie sprawiedliwego *modus vivendi* w ten spesób, iż godzili się na prezydenturę dra Grübla, pod warunkiem, jeśli dr Lueger wybrany będzie pierwszym wiceprezydentem. Żądanie to było aż nadto słuszne. Mniejszość bowiem tak znaczna ma wszelkie prawo ku temu, żeby była w prezydjum zastąpioną. To też dr Grübl, człowiek umiarkowany i dość wyrozumiały, zgodził się na układ z antysemitami i już nawet rozpoczęto rokowania w tym kierunku. Tymczasem huknęła prasa żydowska w swe nieprzejednane tuby papierowe, piętnując wszelki kompromis jako „zdradę postępu“ i Bóg wie czego jeszcze, a zaraz pod ręką znalazł się wielki wódz w osobie dra Richtera, byłego pierwszego wiceprezydenta, który z rozkazu tej prasy podjął kampanję nieprzejednania przeciw stronnictwu antysemickiemu, zakończoną haniebną, jak wiadomo, klęską liberalnego stronnictwa, wraz z całem żydowstwem. W przeciągu bowiem niespełna roku stopniała większość liberalna w wiedeńskiej Radzie gminnej z 76 na 42, podczas gdy mniejszość antysemicka wzrosła z 62 na większość 96. Wszystko to ma naturalnie stronnictwo niemiecko-liberalne swoim dziennikarskim nauczycielom żydowskim do zawdzięczenia, gdyż gdyby ono było na wiosnę zeszłego roku zawarło kompromis z antysemitami, byłoby dotychczas posiadało większość z liberalnym prezydentem na czele w wiedeńskiej Radzie gminnej.

Żydowska prasa zatem powodowana tylko ślepą nienawiścią, zaśliniona pianą szalonej złości, oddała sama antysemitom wielką przysługę. Rady jej bowiem udzielane liberałom, wyszły tymże na oczywistą zgubę, a zaś stały się drożdżami dla wzrostu kołaczów antysemickich.

Obecnie także gardłuje dużo ta prasa w sprawie wiedeńskiej i również nie skąpi swych mądrych rad, które jednak obecnie wystosowuje pod adresem rządu. Liberałów uśmiercili żydzi, więc nie ma im już co i radzić. Przy obecnej swej manipulacji używa prasa semicka nienowego żydowskiego „kniffu“, t. j. stawia swoje własne żądania i życzenia jako postanowienia rządu, usiłnując tym sposobem wpływać na rząd i wmawiać w niego swoje własne myśli. Tak postępuje *Neue fr. Presse* w dzisiejszym swoim artykule wstępnym, zapewniając, iż rząd i tym razem dra Luegera nie zatwierdzi, że i tym razem wiedeńską Radę gminną rozwiąże, co dziwnym uzasadnia argumentem, mianowicie tym, iż od ostatniego wyboru prezydenta położenie miasta w niczem się nie zmieniło. Jest to najwierutniejsze kłamstwo, gdyż położenie dziś jest wcale innem, niż było w jesieni zeszłego roku, a jeśli co się nie zmieniło, to tylko żydowska nienawiść i mściwość.

Wynik jutrzejszego wyboru jest wcale niewątpliwy. Lueger będzie jednogłośnie przez radców antysemickich wybrany prezydentem miasta, a jeśli nie zostanie zatwierdzonym przez cesarza i wskutku tego przyjdzie jeszcze raz do wyboru, to znowu będzie on wybrany jednomyślnie i wybór też niezawodnie przyjmie. Co potem nastąpi, będzie rzeczą rządu.

W sprawie budowy „Domu Akademickiego“.

Z miasta, od osoby poważnej i wybitne zajmującej stanowisko, w sprawie powyższej otrzymaliśmy uwagi następujące:

Piękna myśl postawienia „D o m u a k a d e m i c k i e g o“ w Krakowie, powzięta przed kilkoma latyp rzez młodzież uniwersytecką a popierana gorliwie przez IM. rektora Korczyńskiego, zbliża się do urzeczywistnienia. Komitet towarzystwa, zawiązanego w celu wprowadzenia tej myśli w czyn, zakupił od Tow. Strzeleckiego obszerny plac, położony za ogrodem Strzeleckim, postarał się o wygotowanie planu i wkrótce ma przystąpić do rozpoczęcia budowy. Jednak o ile sam pomysł postawienia domu akademickiego zasługuje na zupełne uznanie i na szczere poparcie ogółu, o tyle postanowienia, powzięte w celu wykonania tej myśli, i poczynione w tym celu przygotowania zasługują na życzliwą krytykę, gdyż takowa według naszego mniemania, weszły na niewłaściwą drogę. Dlatego opinja publiczna powinna w tej ważnej kwestji zabrać głos, dopóki jeszcze nie zapóźno, aby naprawić popełnione błędy i dopóki jeszcze można porzucić mylną a wstąpić na właściwą drogę.

W kwestji budowy domu akademickiego najważniejszą rzeczą jest wybór odpowiedniego miejsca na takowy, gdyż odpowiednie położenie wybudować się mającego gmachu w naszem mieście, przyczyni się do podniesienia instytucji, dla której tenże przeznaczony, uczyni ją użyteczniejszą i nada jej doniośléjsze znaczenie, a zaś miejsce niefortunnie wybrane, może ją zupełnie zwichnąć lub stać się przyczyną, iż nie będzie odpowiadaoł swemu przeznaczeniu.

Dom akademicki powinien stać w miejscu celnem i przystępnem a nie w ukryciu, o ile możności blisko środka miasta a nie na odległem przedmieściu, przedewszystkiem zaś niedaleko gmachów uniwersyteckich. Tymczasem plac, zakupiony przy ulicy Topolowej, blisko rogatki rakowickiej, warunkom tym zupełnie nie odpowiada.

Wybór tego miejsca byłby usprawiedliwionym, gdyby w Krakowie nie można było znaleźć innego, odpowiedniejszego. Tymczasem tak nie jest, gdyż pomimo szybkiego znikania niezabudowanych przestrzeni, w obrębie miasta nie trudno byłoby wyszukać odpowiednie plac pod budowę domu akademickiego.

W szczególności zwracamy uwagę na obszerny plac budowlany przy ulicy Wolskiej, należący do drukarni Uniwersyteckiej, ciągnący się od realności Platowiczów l. 5, aż do ulicy Zgoda, mający około 100 metrów długości.

Ze względu na położenie, rozmiary i konfigurację tego placu, trudnoby nawet wymarzyć sobie miejsce lepsze i odpowiedniejsze pod dom akademicki. Plac ten, położony przy jednej z najpiękniejszych ulic Krakowa, blisko plantacji, niedaleko od środka miasta, w bliskiem sąsiedztwie głównych gmachów uniwersyteckich (Collegium novum, Collegium physicum, Bibljoteki Jagiellońskiej), niedaleko od zakładu gimnastycznego Towarz. „Sokół“ i mających powstać wkrótce pływalni, ujeżdżalni, niedaleko Błoń i parku Jordana a zatem w pośród zakładów, przeznaczonych dla młodzieży a służących dla kształcenia umysłu i ćwiczenia ciała, jest jak gdyby stworzony pod budowę gmachu, mającego służyć na pomieszczenie stowarzyszeń młodzieży uniwersyteckiej i na mieszkania dla uczniów uniwersytetu.

Zarząd drukarni Uniwersyteckiej zamierza sprzedać ten plac. Prawdopodobnie liczni przedsiębiorcy budowlani będą się ubiegali o jego nabycie. Mniemamy jednak, iż byłoby nierównie lepiej, gdyby go nabyto pod budowę domu akademickiego, aniżeli, gdyby przeszedł w ręce prywatnych spekulantów. Okoliczność, iż komitet towarzystwa domu akademickiego już nabył inny plac za ogrodem Strzeleckim na ten cel, nie stoi temu na przeszkodzie, gdyż nabyty plac może być z łatwością bez straty odprzedanym, dopóki budowa na nim nie będzie rozpoczętą. A zaś gdyby ta zmiana miejsca pod budowę miała pociągnąć za sobą zwłokę w rozpoczęciu budowy, to będzie mniejszą szkodą dla zamierzonego celu, aniżeli wybudowanie gmachu w miejscu nieodpowiedniem.

Przy tej sposobności chcemy zwrócić uwagę na okoliczność pozostającą w bliskiem związku z zamierzoną budową domu akademickiego.

Wiadomo, iż zmarły przed dwoma laty inżynier Ratuld pozostawił fundusz około 30.000 złr., przeznaczony na budowę gmachu, mającego obejmować salę na zebrania uniwersyteckie, na odczyty publiczne itp.

Intencja zacnego przyjaciela młodzieży, tworzącego tę fundację, jest tak zbliżoną do intencji inicjatorów budowy domu akademickiego, że zachodzi konieczna potrzeba porozumienia się wykonawców obydwóch tych fundacyi, w celu wspólnego działania.

Obydwie te instytucje będą miały nierównie większą wartość i doniośléjsze znaczenie, jeżeli zostaną połączone tak, iżby jedna uzupełniała drugą, aniżeli jeżeli każda z nich pozostanie osobno, w innem miejscu, bez żadnego związku z drugą.

Byłoby rzeczą zupełnie niewłaściwą i chybioną, gdyby gmach, mający być wybudowanym dla fundacji inżyniera Ratulda, stanął gdzieś w miejscu odległem, u kresów miasta, pod rogatką. Jeżeli zaś dom akademicki będzie stał gdzieindziej, a dom dla akademików z fundacji Ratulda gdzieindziej, wówczas obydwie te instytucje będą pozbawione tych korzyści, jakie zbliżenie ich do siebie musiałoby im przynieść. Oczywiście połączenie obydwóch tych instytucyj w jednę całość jest niemożliwem, gdyż fundacja Ratuldowa musi zachować swój odrębny charakter, odpowiadający woli fundatora. Lecz obmyślenie jednolitego planu w celu wprowadzenia w wykonanie obydwóch tych instytucyj tak blizkich sobie swem przeznaczeniem, przy zachowaniu dla każdej odrębnej indywidualności fizycznej i prawnej jest możliwem, a byłoby bardzo pożądanem. To też porozumienie się osób, powołanych do wprowadzenia obydwóch tych instytucyj, w celu wspólnego działania jest koniecznem, a porozumienie takie musi przynieść pożytek dla obydwóch instytucyj, nie tylko ze względu na istotę rzeczy, poleconą przeznaczeniem takowych i na wybór miejsca pod budowę gmachów, lecz również ze względu na wygląd zewnętrzny tychże, formy architektoniczne, rozkład i urządzenie wewnętrzne obydwóch gmachów, a nawet ze względów finansowo-ekonomicznych, które przy wprowadzeniu fundacji Ratuldowej przedstawiają pewne trudności, z powodu szczupłości funduszu, nieodpowiadającego szerokim zamiarom intencji fundatora, a które to trudności mogą być uchylone, jeżeli wykonanie tej fundacji będzie połączone z budową domu akademickiego, któremu fundacja Ratuldowa nawzajem przyniesie wielką pomoc, jeżeli lokale w swym gmachu odda do użytku Stowarzyszeń akademickich, gdyż wówczas lokalności domu akademickiego użyte być mogą na inne cele. Być może, że porozumienie takie pomiędzy wykonawcami obydwóch instytucyj już istnieje, ale w działaniu na zewnątrz takowe nie jest widoczne — a sprawy, obchodzące ogół publiczności, nie powinny być trzymane w tajemnicy.

Powracając do projektu co do wyboru miejsca dla obydwóch gmachów nadmieniamy, iż na placu, należącym do drukarni uniwersyteckiej przy ul. Wolskiej i Zgoda, obydwa gmachy znajdą wygodne pomieszczenie, a w szczególności gmach fundacji Ratulda mógłby zająć narożnik od ulicy Zgoda, a reszta przestrzeni przy ulicy Wolskiej mogłaby być użytą pod budowę domu akademickiego.

W razie trudności w nabyciu powyższego placu na obydwa gmachy, pod budowę jednego, a może nawet obydwóch, nadawałby się ogród przy ulicy Kraszewskiego l. or. 21 i 26, położony naprzeciw „Collegium novum“, pomiędzy domem narożnym od ulicy Wolskiej a willą hr. Hussarzewskiej.

Lepsze widoki.

Towarzystwo ochrony ziemi w Krakowie, zdaje się, wejdzie na drogę pomyślniejszą i będzie przynosiło rzeczywistą korzyść krajowi i rolnikom. Jak dotąd, wszyscy się uskarżali nietylko na niedołężne ale nawet na szkodliwe prowadzenie zarządu, więc też zmiana osób, jaka nastąpiła na ostatniem walnem zgromadzeniu Towarzystwa, powinnaby wpłynąć dodatnio na jego rozwój, zwłaszcza, że Tow. ochrony ziemi tak ważną odgrywa rolę w naszem życiu ekonomicznem.

Walne zgromadzenie członków tej instytucji odbyło się w piątek we własnym lokalu przy ulicy Groble. Przewodniczył wiceprezes rady nadzorczej, adwokat dr Dobija. Na początku posiedzenia pierwszy zabrał głos p. Zalański, dotychczasowy dyrektor Tow. Starał się on przekonać obecnych, że zgromadzenie nie powinno przystępować do wyboru nowej dyrekcji, gdyż inaczej możnaby mu zarzucić nielegalne zwołanie. Nawet ostatnie posie-

dzenie Rady nadzorczej można uważać także za nielegalne.

Wywiązała się nad tem dłuższa dyskusja, wreszcie zgromadzenie uznało się za prawnie obradujące.

Przy obliczeniu głosów okazało się, że p. Zalański rozporządza 60 głosami tak na mocy swoich udziałów, jak i udzielonych mu pełnomocnictw. Reszta głosów wynosiła tylko 55, a więc pan dyrektor rozporządzał większością. Przewodniczący prosił go, aby się zrzekł stanowiska dyrektora. Ten zgadzał się na to, ale pod pewnemi warunkami i w dłuższem przemówieniu rozwinął swoje poglądy na przyszłość Towarzystwa. Dwie tylko widzi drogi — pomnożenie kapitału i załatwienie parcelacji wsi Wołczy dolnej za pomocą uprawomocnienia kontraktów, albo likwidację przy pośrednictwie jakiej instytucji krajowej.

Zgromadzenie uchwaliło unieważnienie pełnomocnictwa p. Sciery, dane p. Zalańskiemu i skutkiem tego ilość jego głosów obniżyła się do 40. Delegaci kolonistów: Błażej Cwynar i Franciszek Pinkalski, rozwodzili żale i skarżyli się na Towarzystwo. Uchwalono darować im procent zaległy, za rok wstecz, od chwili podpisania kontraktów. Bilansu nie przedłożono, więc zgromadzenie nie mogło nad nim obradować. Również nic nie postanowiono w kwestji zmniejszenia kosztów administracji. Do Rady nadzorczej weszli: dr Henryk Bobkiewicz, Jan Bartosiński, Marcin Dobija, dr Dobija, Ludwik Deller, Marcin Dziewoński, Dobrowolski, Kołodziejczyk, dr Kostkiewicz, ks. Łobczowski, ks. Ignacy Sablik, Studnicki, Jan Turahiewicz, Wincenty Waniec, ks. Wirmański, Franciszek Wiszniowski i Stanisław Zarzycki. Z powodu rezygnacji dyrektora, zebrani polecili Radzie nadzorczej, aby zwołała jeneralne posiedzenie na dzień 15 maja celem wyboru nowej dyrekcji.

ZE ŚWIATA.

Wiedeń d. 18 kwietnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Ankieta, zajmująca się pracą kobiet, przychodzi do coraz smutniejszych rezultatów. W tych dniach przesłuchiwano robotnice, zatrudnione w zawodzie kuśnierskim. Sezon trwa od września do Nowego roku i przez ten czas, zajęte są one dziennie od 15—18 godzin, po większej części, przy maszynie. Zapłata wynosi tygodniowo od 3 złr. 50 ct. do 7 złr. Po ukończeniu sezonu, wszystkie są rozpuszczane i w zimie muszą szukać innego kawałka chleba. W jednej fabryce tkackiej, w oddziale chustek, zajętych jest 720 kobiet. Zarabiają najwyżej tygodniowo 6 złr. za 11 godzin dziennej pracy. Nie lepiej się dzieje po innych fabrykach i ankieta sprawdziła, że kobiety wszędzie są wyzyskiwane w sposób nadmierny.

Nadeszłe wiadomości z Aten, donoszą o zwycięstwach kilku Wiedeńczyków w igrzyskach olimpijskich. Paweł Neumann otrzymał pierwszą nagrodę za pływanie. Otton Herschmann, srebrny medal za fechtunek na pałasze, a Juljan Filius, pobił najsławniejszych cyklistów francuskich i greckich, w jeździe 12 godzinnej. W biegu na przestrzeni 50 kilometrów, był trzecim z rzędu.

Zmarł tu nagle na anewryzm sercowy, znakomity rzeźbiarz i profesor Wiktor Tilgner i to w chwili gdy wspaniałe jego dzieło, pomnik Mozarta, miało być odkryte w obecności cesarza, dostojników i świata artystycznego i uczonego. Śmierć jego wywołała żal i współczucie we wszystkich kołach. Urodził się w Preszburgu 1844 r. i był synem kapitana armji austrjackiej. Z młodości miał już pociąg do sztuki. Kształcił się początkowo w pracowni Schönthalera, a następnie zapisał się do akademji sztuk pięknych. Jako zdolny uczeń, uzyskał wkrótce stypendjum i po ukończeniu kursów, wyjechał na dłuższy czas do Włoch. Prace wielkich mistrzów włoskich, wpłynęły stanowczo na jego kierunek. Dość spojrzeć na grupę: „Tryton i nimfy". Zaliczał się do nadzwyczaj pracowitych artystów i tworzył bardzo wiele. Wszystkie muzea austrjackie zapełnione są jego dziełami. W jego pracowni znajduje się niedokończony posąg Makarta i kilka innych rzeźb.

W dzielnicy Hernals, służąca Frauenberger chciała popełnić morderstwo na swojej chlebodawczyni, pani Beness, wdowie po urzędniku. Tę ostatnią posądzano o posiadanie znacznego majątku. Była nadzwyczaj skąpą i z nikim się nie komunikowała. Przedwczoraj rano, sąsiedzi usłyszeli przygłuszone jęki, wychodzące z jej pokoju. Gdy otworzyli drzwi, ujrzeli służącą z nożem w ręku. Zadała już ofierze jedną ranę w szyję. Zobaczywszy obcych, wybiegła szybko drugiemi drzwiami i dotąd jej nie znaleziono.

Zabawna scena odegrała się w biurze adwokata R., w śródmieściu. Rano zgłosiła się do niego praczka po bieliznę, mówiąc, że ją przysłał pewien pan. Adwokat na to odrzekł, że ma własną praczkę i nie potrzebuje jej usług. Odeszła, ale w kilka minut zjawia się druga, następnie trzecia, czwarta i w końcu liczba doszła do trzydziestu. Jakiś żartowniś urządził figla adwokatowi. Ten jednak obraził się i sprawę oddał sądowi.

Na ostatniem zgromadzeniu związku aktorów austrjackich, poruszono myśl zniesienia ustawy o prawach artystów. Odnośny eleborat mają wypracować: dr Menger, rektor Uniwersytetu, dyrektor Burgu, dr Burchardt, Ernest Niedl i poseł Piniński. Ten ostatatni, nową ustawę ma wnieść do parlamentu.

Wielkie wrażenie zrobiło w Peszcie przyaresztowanie byłego radcy policyjnego Chludy'ego. Posądzony on jest o sprzeniewierzenie pieniędzy tak rządowych jak i prywatnych, oraz o sfałszowanie dokumentów. Radca Chludy cieszył się dotąd ogólnem poważaniem i był nawet jednym z najważniejszych kandydatów na stanowisko dyrektora policji peszteńskiej.

Swój.

Paryż 16 kwietnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Proces szantażystów Lebaudy'ego może jeszcze wejść na nowe tory i wykryć wiele rzeczy, które dotąd zostawały w cieniu. Wciągu tego procesu nieraz obijało się o uszy, że na ławie oskarżonych siedzą tylko króliki, a gruba zwierzyna spokojnie spaceruje po bulwarach. Obecnie panowie: Cesti i Ulryk de Civry, wnieśli sprzeciwienie od wyroku, do sądu apelacyjnego i rozprawa ponowna została rozpisana na dzień 24 kwietnia. Obydwaj postanowili bronić się do upadłego i nikogo nie oszczędzać. Ci, którzy składali świadectwa przed sądem, obławiali się miljonami, gdy tymczasem z obwinionych oprócz Cestego, nikt nie dostał jednego centyma. Będziemy mieli znowu przyjemność widzieć pannę Marsy, ale główna inspiratorka całej sprawy, zdaje się, będzie miała inną minę i nie tak dumnie będzie odpowiadała, niż poprzednim razem.

Akademja medyczna uchwaliła na ostatniem posiedzeniu przyznać nagrodę Saint-Paul, w kwocie 25,000 franków, dwom wynalazcom surowicy, doktorom: Roux z Paryża i Behringowi z Berlina. Uczeni francuscy, wszelkie względy patrjotyczne odrzucili na bok i w niemieckim wynalazcy, uczcili wiedzę i talent.

Minister oświaty, Combes, jak wiadomo, jeden z głównych przewódców masonerji, przed kilkoma tygodniami wyraził się o religji w sposób godny socjalisty, lub anarchisty. Wszelką wiarę nazwał „absurdem", a zdziczały tłum sankiulotów przyklasnął mu gorąco. Duchowieństwo prześladuje na każdym kroku i świeżo usunął ze stanowiska proboszcza w Winzecle, na skutek denuncjacji nauczyciela wiejskiego, datującej się jeszcze z tych czasów, gdy pan Poincaré piastował ten urząd. Brat Combes stara się przypodobać wolnym mularzom, lecz ci niewiele mu pomogą, gdy padnie wraz z całem ministerjum. Fakt ten prawdopodobnie wkrótce nastąpi, gdyż republikanie umiarkowani postanowili połączyć się ze stronnictwami uczciwszemi, aby położyć kres rozwielmożnieniu się Juaresów, Rouanetów i całej kliki socjalistów.

Pojedynek księcia Sagan z komedjopisarzem Hermant jeszcze dotąd zajmuje umysły. Niektóre dzienniki podały, że pistolety nabijał rusznikarz a nie sekundanci. Znany fabrykant broni Gastinne Renette prostuje teraz pogłoskę i oświadcza publicznie, że nie jego pomocnik, ale świadkowie broń nabijali i wręczyli ją przeciwnikom. Księciu Sagan członkowie Jockey-Clubu wyprawili gorącą owację, a Hermant jest dziś bohaterem dnia i wszyscy mu się nizko kłaniają. W Paryżu niewiele potrzeba, aby zostać sławnym.

Ogromna susza panuje w departamentach południowych. Od miesiąca nie spadła kropla deszczu i obawiają się bardzo, że tegoroczne urodzaje zupełnie przepadną. W miastach daje się czuć brak wody. Minister rolnictwa kazał obniżyć w Marsylji ilość wody wodociągowej z 13 metrów kubicznych na 5 metrów i to co sekunda. Tak kanał jak i rzeka Durance grożą zupełnem wyschnięciem. Rozporządzenie ministra Vigera wywołało popłoch między właścicielami fabryk marsylskich. Wysłali deputację do Paryża i na usilne ich prośby minister zezwolił, aby wydawano wodę z wodociągów do wysokości 9 metrów na sekundę.

W procesie Coquelina starszego, wytoczonym mu przez dyrekcję teatru Komedji francuskiej, zapadł wyrok w sądzie apelacyjnym. Znakomity artysta został skazany na grzywnę 500 franków, ilekroć przekroczy regulamin, obowiązujący członków domu Moliera.

K. W.

Na półwyspie Apenińskim.

Wrażenia osobiste spisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

Kończy się wojna krymska, przedstawiciele stron wojnjących zjeżdżają się w r. 1856 na kongres do Paryża, a z nimi zasiada do wspólnych obrad także Cavour, bo przecież i Sardynja wystąpiła w obronie całości państwa ottomańskiego! Pod koniec kongresu Cavour powstał i w świetnie wygłoszonej mowie skreślił rozpaczliwe położenie prowincij włoskich, jęczących pod panowaniem reakcyjnych Burbonów i Austrjaków. Taki stan dłużej trwać nie może — sprawa włoska musi być załatwioną! Oto treść mowy tego genjalnego dyplomaty. Wprawdzie śmiałe jego wystąpienie na kongresie nie pociągnęło za sobą skutków bezpośrednich, przedstawiciele bowiem mocarstw w innej sprawie się zebrali — ale mimo to cel został osiągnięty, gdyż od tego dnia kwestja włoska była w Europie na porządku dziennym.

Po pierwszym kroku szczęśliwym nastąpił drugi. W 1858 r. Cavour odwidził Napoleona w Plombiéres, gdzie cesarzowi Francuzów przyrzekł odstąpić Niceję i Sabaudję, obie prowincje więcej francuskie niż włoskie, za pomoc przeciw Austrji. Napoleon chętnie przystał na ten warunek, gdyż jak chciał przekonać Francuzów o prawdziwych swoich sympatjach dla idei narodowościowej, tak niemniej zależało mu na stworzeniu sobie sprzymierzeńca i zrobieniu nowego wyłomu w św. Przymierzu.

Rok nie upłynął, a Sardynja podrażniwszy Austrję, zmusiła ją do wypowiedzenia wojny. Jak burza spadają francuskie legjony ze szczytu Mont-Cenis, biją Austrję na głowę w kilku walnych bitwach i zajmują całą Lombardję, którą cesarz Franciszek Józef oddaje w Villafranca Napoleonowi III, a ten wspaniałomyślnie robi z niej podarunek Wiktorowi Emanuelowi.

Kiedy trzy armje walczą na równinach Lombardji, książęta Parmy, Modeny i Toskany, którzy dotąd opierali się o Austrję, przestraszeni opuszczają swoje państwa. Ludność tych prowincij, zentuzjazmowana zwycięstwami włosko-francuskich sztandarów, ogłasza natychmiast detronizację dawnych potentatów i dobrowolnie łączy się z Sardynją. Wprawdzie według brzmienia układu w Villafranca i późniejszego pokoju Zurychskiego, zdetronizowani książęta mieli do swoich państw powrócić, ale Sardynja wiedząc, że Francja nie zechce gwałtem przeprowadzić restauracji, odmówiła swego podpisu na układzie i tak została w rzeczywistem posiadaniu wszystkich tych prowincij. W dodatku dostała jeszcze papieską Romanję, która poszła za przykładem Toskany.

Takie było położenie na wiosnę w 1860 roku.

Dnia 6 maja r. 1860 Józef Garibaldi, popierany tajnie przez Cavoura, wypłynął z tysiącem ochotników z Genui, a wylądowawszy po pięciu dniach w Marsali, na zachodnim brzegu Sycylji, wypędził w dziesięciu tygodniach Burbonów z tej wyspy. Nie namyślając się długo, przeniósł się ze swoją armją na półwysep, a pobiwszy kilkakrotnie wojska Franciszka II, na dniu 7 września r. 1860 odbył wjazd tryumfalny do Neapolu. Równocześnie Umbrja i Marchja, należące jeszcze do państwa kościelnego, oświadczyły się za rządami Wiktora Emanuela. Mocarstwom europejskim nie podobało się to gwałtowne obalenie monarchów prawowitych; ale Cavour, który z Garibaldim szedł ręka w rękę, licząc na sympatje Napoleona III, nie zważał na innych mocarzy. Wiedział on, że fakt spełniony jest najlepszą polityką. To też zaledwie Garibaldi wjechał do Neapolu, wojska sardyńskie wkroczyły niezwłocznie w granice państwa kościelnego, a pobiwszy armję rzymską pod Castelfidardo i zdobywszy Anconę, zmusiły w lutym i marcu r. 1861 do kapitulacji Gaetę, Messynę i Civitellę-del-Tronto, w których zamknęły się niedobitki armji burbońskiej.

W ten sposób, z wyjątkiem Wenecji na północy, w której jeszcze Austrjacy panowali i małej prowincji rzymskiej, w której papież utrzymał swoją władzę świecką, Włochy należały już de facto do Wiktora Emanuela, który d. 17 marca r. 1861 przybrał tytuł *Ré d' Italia* — króla Włoch.

Za ten czyn zuchwały, mocarstwa europejskie bardzo się gniewały; niektóre z nich ośmieliły się nawet wystąpić z protestem. Ale gdy po spełnionym fakcie Anglja, pomna swojej rewolucji z r. 1688, uznała nowe królestwo, gdy wkrótce po nich Napoleon III oświadczył, że restauracja dawnych włoskich potentatów nastąpić nie może, Europa pogodziła się z nowym stanem rzeczy i jeden rząd po drugim uznał króla Włoch.

W r. 1866 Prusy postanowiły złamać w Niemczech potęgę Austrji. Włosi korzystając z nadarzającej się sposobności, zawarli z niemi zaczepno odporne przymierze, a chociaż na lądzie i morzu, pod Custozzą i Lissą zostali na głowę pobici, mimo to otrzymali Wenecję, ponieważ w układzie wyraźnie było powiedziane, że dopóki obydwaj sprzymierzeńcy celu swego nie osiągną, żaden z nich nie może zawrzeć pokoju na własną rękę. Austrja pobita na północy, chcąc się uwolnić od Prusaków, musiała zatem oddać Wenecję, aby pokój uzyskać.

Odtąd pozostawał Rzym tylko, w którym Napoleon III utrzymywał swoją załogę. Dzięki wytrwałym zabiegom włoskiej dyplomacji, Napoleon wycofał nareszcie swoją załogę, a gdy w roku 1870 między nim a Prusami wojna wybuchła, Wiktor Emanuel korzystając z dogodnej sposobności wkroczył do wiecznego miasta i zabrawszy papieżowi jego własność zostawił mu tylko Watykan.

Odtąd sztandar jego powiewa na szczycie Kapitolu.

Odtąd Italja jest zjednoczoną od Alp do Tarentu.

Któż teraz zaprzeczy, że jedność włoska, zawdzięcza swoje istnienie położeniu geograficznemu propagandzie stronnictwa postępowego, genjalności jednego męża stanu i szalbierstwu politycznemu, które nie cofnęło się nawet przed rabunkiem?

(Ciąg dalszy nastąpi).

MONTE-LEONE.

POWIEŚĆ

Pawła d'Aigremont. (29)

(Ciąg dalszy).

— Tak, rozumiem — rzekła Lydja niezdolna już powstrzymać wzruszenia, na widok tych walk, pracy i nędzy — rozumiem i odgaduję... Obie panie byłyście mężne i odważne, lecz energja wasza nie pójdzie na marne... Włożyłyście się do pracy i czynu... Teraz, przy pomocy, życie wasze lepiej się ułoży. Puśćcie w niepamięć przeszłość ponurą. Patrzcie tylko w przyszłość... Mama, która jest także świętą kobietą, zabezpieczy wam ją...

— Jak dziękować za to wam wszystkim?...

— Modląc się za nią!.. Bóg miłosierny wysłucha próśb drogiej matki i może ją dla nas zachowa!... Tymczasem, zanim znajdziemy coś odpowiedniego dla pań, mieszkajcie w tym tu domu, do którego, brat mój Leon, panie wprowadził. Ja postaram się dla pani o tłómaczenia, które nie będą wymagały pośpiechu i lepiej się opłacą... Praca ta wystarczy na codzienne wasze potrzeby.

Z właściwą sobie przebiegłością, Lydja wyciągnęła na słowa i matkę i córkę, żeby zbadać ich serca, charaktery i usposobienia. Egzamin ten wypadł na ich korzyść. Obie były szlachetne i inteligentne. Matka nadewszystko okazywała praktyczność właściwą jej narodowości.

— Liczcie panie na nas — mówiła panna Berthier. — Skoro tylko będę mogła, powrócę z czemś nowem dla was.

Pani de Terrenoire nie mogła znaleźć słów na podziękowanie i wypowiedzenie wdzięczności, Lydja jej powiedziała:

— Pani, obowiązkiem możnych, jest naprawianie niesprawiedliwości losu. Nie zapomnijcie tylko pomodlić się za nas... Widzicie — dodała ze smutkiem — że nie jest największem nieszczęściem nie mieć chleba!...

Oktawja była już gotowa do wyjazdu.

— Do widzenia! — rzekła Lydja odchodząc — lecz może dopiero za tydzień, a kto wie czy nie za dwa...

— Będziemy oczekiwały — odezwała się Eliza z oczyma błyszczącemi przywiązaniem i wdzięcznością. — Teraz nie jesteśmy już same. Myśl o pani nie będzie nas odstępowała.

A spostrzegłszy w spojrzeniu Lydji wyraz uszczęśliwienia jakie słowa jej wywołały, milutkie dziewczątko zbliżyło się do niej i z wdziękiem wrodzonym, wsparłszy jasną głowę na ramieniu garbuski, mówiła cicho:

— Wymieniłaś nam pani, imię swego brata, Leon!... A czy nie dowiem się imienia twego, żeby złączyć je razem w mojem sercu?...

— Nazywam się Lydja — mówiła szeptem stłumionym łzami.

— Lydja! — powtórzyło dziewczę. — Ładne imię... Ładne jak piękne twoje oczy, promieniejące miłością i dobrocią niewyczerpaną... Ładne jak czysty twój profil i piękne czoło!... Oh! panno Lydjo jeżeli pozwolisz, wiecznie będę cię kochała, ubóstwiała...

— Niczego więcej nie pragnę, droga moja — odrzekła jej z czułością. — Ale ja jestem egoistką... nawet bardzo wymagającą... i kto wie, czy nie będę wymagała dużo dowodów twego przywiązania do mnie?...

— O! powiedz mi, pani!... proszę!.., czegóżbym ci mogła odmówić?..

— Otóż, trzeba będzie popracować nie tylko nad kwiatkami, które twoje drobne paluszki muszą prześlicznie układać... lecz także i umysłowo. Później nakreślę ci program... i naradzimy się z twoją mamą. Jak na teraz, bądź pociechą swej nieszczęśliwej matce i nie niecierpliw się, jeżeli Leon lub ja, będziemy zwlekać z powrotem.

Z pewnem skupieniem i natężoną wolą, wyższą nad jej wiek, Eliza odpowiedziała:

—Będę taką, jaką pani chcesz, abym była przez miłość dla ciebie.

W oczach pani de Terrenoire malowało się uznanie dla słów córki.

Lydja wsiadając z Oktawją do fiakra, westchnęła z cicha szepcząc sobie w duszy:

— Słusznie mówiła mama: jeżeli brzeg czary poświęcenia ma gorycz, za to na dnie jej mieści się dużo słodyczy.

Stało się, spełniło się poświęcenie Lydji.

Odtąd pani de Terrenoire i jej córka miały mieć w niej najwierniejszą przyjaciółkę i protektorkę.

XII.

Nowy pan.

— Nie chcę żeby Ludwik mieszał się do czegokolwiekbądź! — zapowiedziała Edyta synowi.

— I ja miałem tę samą myśl — opowiedział Leon — lecz potrzebuję kogoś, coby zastąpił mnie tam, gdzie sam być nie mogę. Czy zgodzisz się, mamo, na Marcina Fontenay?...

— Z największą chęcią.

Posłał więc po Fontenaya, którego on, jak i jego matka, obdarzali sympatją. Zresztą, stanowisko młodego człowieka, jako urzędnika kasowego. było także dobrym uczynkiem Leona. I co nie często się zdarza, dobry ten uczynek wywołał w obdarowanym wdzięczność i wierność wypróbowaną.

Przed laty kilku, Fontenay dostał się do domu handlowego Berthier za protekcją Ludwika, który lubił otaczać się ludźmi zawdzięczającymi jemu stanowisko, w celu zjednania sobie stronników pokrywających przed Franciszkiem jego usterki, a także aby mieć szpiegów śledzących każdy czyn i gest brata, bratowej i ich syna, których na równi nienawidził.

I aby tem bardziej zobowiązać względem siebie takich protegowanych, prowadzał ich z sobą do klubów, kawiarni, a nieraz do ostatniorzędnych knajp którerni nie gardził, byle w nich było co pić i z kim grać w karty.

Z Marcina Fontenay, który pochodził z rodziny szlacheckiej, lecz podupadłej, uczynił swego towarzysza zabawy, w nadziei, że w razie potrzeby, będzie miał zeń narzędzie w ręku. Kto wie, co może wypaść?...

Młodszy Berthier pełen chciwości nienasyconej i mętnych kombinacyj nosił się z niezliczonemi planami, do których wiedział, iż w danej chwili potrzebni mu będą wspólnicy. Marcin Fontenay, młody usposobieniem, wesół i wdzięczny. krył pod pozorami lekkości, głębokie poczucie honoru, na czem Ludwik się nie poznał. Wszędzie go z sobą prowadził, zacząwszy od miejsc gdzie zbierało się towarzystwo porządne, skończywszy na najbardziej podejrzanych, w których Ludwik, jako człowiek miernej inteligencji, pozwalał się do żywego obdzierać.

Pewnego rana, Leon przechodząc mimo pokoju w którym mieściło się biuro jego stryja, usłyszał wybuchy straszliwego gniewu. Nie był to jednak głos Ludwika. Zaciekawiony, zaczął się przysłuchiwać, sądząc, że jego interwencja może być potrzebną.

— A ja mówię panu, żeby mi pożyczył sumę, którą wczoraj wieczorem przegrałem! — odezwał się głos stanowczy i energiczny.

— Mój drogi Fontenay — odpowiedział miodowy głosik młodego Berthiera — postępowałeś jak żak. Nie mając pieniędzy, nie można się tak jak ty awanturować. Chętniebym ci przysłużył. ale nie mogę. Udaj się do mojego brata. Prawdopodobnie on ci da naprzód pieniędzy.

— Nie, pan baron wydaliłby mnie z biura, o czem pan dobrze wiesz... Nie przebaczyłby kasjerowi, który, tak jak ja, równie bezrozumnieby postąpił... I słusznieby to uczynił!...

— Pan się mylisz, brat mój ma szersze poglądy...

— Dosyć, mój panie, rozumiem ciebie! Chciałbyś pozbyć się mnie, byłem bowiem świadkiem niektórych twoich sprawek; dlatego to dajesz mi rady zdradzieckie... Ale nic z tego.. przysięgam... musisz mi dać pieniądze, które straciłem przez pana.

— Mamże być odpowiedzialnym za pańskie szaleństwa?..

— Tak, bo sam nie poszedłbym w takie miejsce, i gdyby nie pan, omijałbym je jak przystoi na głowę rodziny. Mam żonę i dziecko, które muszę utrzymywać. Im się należy całkowity owoc mej pracy. Lecz pan jesteś bratem mego chlebodawcy. Tobie zawdzięczam moją posadę, mógłżem odmówić, gdy żądałeś abym ci towarzyszył?

— Nie przymuszałem pana do gry!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Część urzędowa.

Konkursy. Rada szkolna okręg. w Kolbuszowej rozpisuje konkursy na posady nauczycielskie. Termin do 15 maja br.

Kraj. dyrekcja skarbu ma do obsadzenia posadę służbową dla utrzymania ewidencji katastru podatku gruntowego ze stanowiskiem służbowem w Rzeszowie, względnie jednę posadę geometry ewidencyjnego II klasy i jednę posadę elewa ewidencyjnego z innem stanowiskiem służbowem w Galicji.

(*Gazeta lwowska* Nr. 89).

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Jakież było moje zdziwienie w Wenecji, gdy ubiegłej niedzieli, wróciwszy w samo południe po mszy z kościoła św. Marka, ujrzałem na progu domu mojego gospodarza z wielkim listem w ręku, na którym już zdaleka poznałem pieczęć królewską.

Gospodarz podniósłszy list do góry i żywo gestykulując na sposób włoski, wołał głosem donośnym:

— Niesłychane szczęście *egregio Signor!* Był tu przed chwilą jeden z wyższych urzędników kancelarji królewskiej i zostawił ten oto list dla pana. Pytałem. ceby w nim było, lecz nie chciał mi powiedzieć... Przypuszczam jednak, że musi to być jakieś zaproszenie, bo miał jeszcze kilka podobnych listów, z któremi odpłynął na Canal-Grande.

Z sercem bijącem rozerwałem kopertę. I oto com przeczytał:

Illustrissimo Signor!

La Sua Maestà il Rè d' Italia, avendo ricevuto ieri la notizia del arrivo di Vostra Signoria a Venezia, e predendola in questo momento pel'unico ripresentante in Italia della celebre città di Cracovia, la quale non solamente era ben conosciuta in Italia già iu medio evo, ma anch' quest' oggi è rinomata in tutto il mondo pei i suoi molto dotti e valorosi cittadini — ha incaritato il sottoscritto d'invitare la Vostra Signoria per la ricepzione, qui avrà luogo al Palazzo reale sta sera alle 9 ore.

Il sottoscritto, gran maestro di casa di Sua Maestà il Rè, ha auch' l'onore di prevenire la Vostra Signoria, qu'il nostro celebre amico. la Sua Maestà Giuglielmo II, Imperatore di Germania, vorrebbe trattenersi con Lei d' importanti affari politici, qu'in questo momento occupano i pensieri di tutti i diplomati del mondo civilisato.

Aggradisca l' assicurazione di miei rispetti, coi quali ho l'onor di scrivermi della Signoria Vostra

umilissimo servo

Sebastiano Marchese di Rubaquattrini

Gran Maestro di Casa di Sua Maestà il Rè d' Italia.

Venezia 12/4 1896.

List ten w dosłownym przekładzie polskim brzmi:

„Jaśnie Wielmożny Panie!

Jego Mość, Król Włoch, otrzymawszy wczoraj wiadomość o przyjeździe Pańskim do Wenecji i poczytując go w chwili obecnej za jedynego przedstawiciela we Włoszech sławnego miasta Krakowa, który nietylko był dobrze znany w Italji już w wiekach średnich, ale który i dziś jest sławnym w całym świecie dla swoich bardzo uczonych i dzielnych obywateli — polecił podpisanemu, abym zaprosił JW. Pana na recepcję, która odbędzie się w Pałacu królewskim dziś wieczór o godzinie 9-tej.

Podpisany, wielki marszałek dworu Jego Królewskiej Mości, ma również zaszczyt uprzedzić JW. Pana, że nasz sławny przyjaciel, Jego Cesarska Mość Wilhelm II, Imperator Niemiec, chciałby z Nim pomówić o ważnych sprawach politycznych, które w chwili obecnej zajmują uwagę wszystkich dyplomatów świata cywilizowanego.

Proszę przyjąć zapewnienie mojego szacunku, z którym mam zaszczyt pisać się JW. Pana najniższym sługą

Sebastjan margrabia di Rubaquattrini,
w. marszałek dworu J. Kr. M. Króla Włoch.
Wenecja d. 12 kwietnia 1896 r.

Przeczytawszy to pismo, ujrzałem się nagle, jak by Herkules na drodze rozstajnej, lub jako Hamlet wobec znanego dylematu. Iść, czy nie iść? Oto pytanie, którem sobie co chwila zadawał. Jeśli pójdę, co na to powie dr Abłamowicz? — a jeżeli nie pójdę, czyż nie wyrządzę w tem krzywdy mojemu miastu, zwłaszcza, że król kazał mnie zaprosić głównie jako przedstawiciela Krakowa? Aby więc podwawelskiemu grodowi nie ubliżyć, zdecydowałem się pójść. potem zaś, ku wiecznej rzeczy pamięci wszystko, cokolwiek nsłyszę, postanowiłem wiernie spisać i drukiem unieśmiertelnić.

Należąc jeszcze do starej generacji, która bez fraka nigdy z domu nie wyjeżdża, ubrałem się o godzinie oznaczonej i włożywszy na ręce jasne rękawiczki a klak na głowę, puściłem się pod parasolem, bo deszcz kropił, przez Piazzettę i plac św. Marka do pałacu królewskiego.

Po drodze spotkałem kilku senatorów i deputowanych, którzy szli także na wieczór. Nie taję, że te niespodziewane zaprosiny, jak mówią Francuzi, „dały mi na nerwy", więc też byłem temu wielce rad, że nie sam jeden, lecz z innymi, w zbiorowisku bowiem człowiek jest zawsze odważniejszym, wszedłem teraz po marmurowych wschodach na pierwsze piętro i znalazłem się w recepcyjnym salonie królewskim.

Oczy moje mimowolnie zamykały się od wielkiego blasku, gdyż w sali 600 świec płonęło, a kie-

dy się nareszcie ze światłem oswoiły, nie wiedziały znów, na czem spocząć, tyle wkoło nich było przepychu. Nic, tylko złote kołnierze, złote sznury, gwiazdy, wstęgi u mężczyzn, a zaś u dam: jedwabie, aksamity, pióra strusie, perły i brylanty.

Po niejakim czasie, zorjentowawszy się w tem, na com patrzył i co się dokoła mnie działo, spostrzegłem dwóch mężczyzn w wielkich uniformach, a trzeciego we fraku. Stali oni o kilka kroków odemnie, całkiem odosobnieni i żywą z sobą wiedli rozmowę. Ministrowie, dyplomaci, dwór, jeneralicja, wszystko to zszeregowało się o kilka kroków za nimi w półkolu.

Na drugim końcu sali cesarzowa niemiecka i królowa włoska odbywały tak zwany „cercle“ z damami.

W owych trzech mężczyznach od pierwszego wejrzenia poznałem dwóch: cesarza Wilhelma i króla Humberta. Ktoby jednak był ów trzeci, w stroju cywilnym, nie mogłem się domyśleć.

Właśnie gdym sobie nad tem głowę mozolił, w. mistrz ceremonji podszedł do grupy monarchów i coś im powiedział, poczem cesarz Wilhelm zwrócił się ku mnie i uśmiechnął się uprzejmie. Równocześnie w. mistrz wrócił do mnie i dał mi znak, bym szedł za nim. Trochę mi w oczach pociemniało (bo coby *Czas* powiedział, gdybym się skompromitował!) ale odchrząknąwszy dla nabrania odwagi, krokiem pewnym zbliżyłem się do najsilniejszych tej ziemi.

W. mistrz ceremonji wymienił moje nazwisko, dodając z naciskiem, że przybywam z Krakowa, poczem cesarz przemówił po niemiecku:

— *Es freut mich!... Was bringen Sie uns neues?*

— *Nichts, Majestaet! Heut Abend haben wir a Sauwetter!*

Cesarz, taką odpowiedź otrzymawszy, roześmiał się na cały głos i zaczął dalej mówić po niemiecku, co jednak ja dla wygody moich czytelników powtarzać już będę po polsku.

— Pan służyłeś w armji austrjackiej?

— Nigdy, Naj. Panie!

— To rzecz szczególna. Odpowiedź, którą mi pan dałeś, była jakby wyjęta z ust oficerowi austrjackiemu.

— Pochodzi to ztąd, Naj. Panie, że jako mieszkaniec grodu i kraju, którego przewodnikiem politycznym jest pan Stanisław Koźmian, twórca polityki „trzech lojalności“, do tego stopnia przejąłem się jego zasadami, że mi doprawdy zdaje się, iż jestem oficerem austrjackim.

— To mi się bardzo podoba — odparł monarcha z widocznem zadowoleniem. — *Dasselbe hab' ich auch dem Koszczelski gesagt*, ale on jakoś tego nie chciał zrozumieć i gdy do Lwowa pojechał, palnął tam mówkę patrjotyczną na sposób polski, za co też musiałem mu cofnąć moją łaskę... Ale z tego, coś mi pan powiedział, widzę, że Koźmian lepiej na was oddziaływa. O tym wielkim człowieku bardzo dużo już słyszałem i cieszy mnie to prawdziwie, że z panem będę mógł o nim pomówić. Jakże Koźmian zapatruje się na teraźniejsze położenie w Europie?

— Czasem czarno, a czasem różowo, zupełnie jak biuro prasowe we Wiedniu.

— *Der Mann hat vollkommen Recht!* Dziś, w rzeczy samej, nie ma nic pewnego, zupełnie jak pogoda. Wczoraj przyjechałem do Wenecji ze słońcem, dziś deszcz pada. A co też pan Koźmian mówi o wojnie?

— Że jeśli do niej przyjdzie, ktoś z pewnością będzie pobity, a ktoś zwycięży. Chyba, że zapaśnicy wpierw między sobą się porozumieją i trzeciego zjedzą.

— *Sehauts! schauts! das ist ein witziger Kopf!* — zawołał imperator i zaraz zapytał: — A co też pan Koźmian mówi o Anglji?

— Jest on zdania, że jeśli Anglja przystąpi do trójprzymierza, natenczas będzie to dowód, że wysoka mądrość polityków trójprzymierza zmusiła ją do tego kroku, w razie zaś gdyby Anglja pozostała i nadal na uboczu, byłby w tem dowód jeszcze jaśniejszy, że dzięki wielkiemu rozumowi polityków trójprzymierza, jej przystąpienie nie było całkiem potrzebne.

— *Colossal!* A jak też radzi on z Rosją postępować?

— Mądrze, aby jej nie drażnić, a przezornie, żeby ona nie drażniła.

— *Aber mein lieber* — zawołał cesarz z uniesieniem — *wie ich seh, dieser Koźmian ist ein Weltkopf!* Jakżeście szczęśliwi, że taką znakomitość macie u siebie.

— Naj. Panie my też to należycie oceniamy.

— Ale ten wasz Koźmian jest nietylko, jak widzę, genjalnym politykiem. Między historykami nie ma on także sobie równego. Niedawno temu, gdym był we Friedrichsruh, zastałem Ottona Bismarcka nad „Rzeczą o r. 1863“. Wyobraź pan sobie, stary Biś uczył się tej książki na pamięć, aby, jak mi powiedział, chociaż przed śmiercią być mądrym. Kiedym go zapytał, co się w tej „Rzeczy“ znajduje, odrzekł, że jest w niej zawarty nagrobek Polski, gdyż Koźmian jasno udowadnia, iż tylko ten może żyć politycznie, kto, jak my, ma karabiny i Kruppy *und alles andere ist Leberwurst.* I wierz mi pan kończył—cesarz Wilhelm — *der Mann hat volkommen recht!*

To powiedziawszy imperator skłonił się mi uprzejmie i zwrócił się ku osobom świeżo przybyłym, do mnie zaś przystąpił król Humbert.

— *Lei parla italiano?* (pan pono mówi po włosku) — przemówił w ojczystym swoim języku.

— Mówię Naj. Panie!

— *Mi piace.* (Miło mi.) Słyszałem, że w Krakowie, skąd pan przybywasz, panuje porządek wzorowy, a że ja sprawami komunalnemi chętnie się zajmuję, więc radbym coś o tem usłyszeć. Macie dobre wodociągi?

— Pyszne! Naj. Panie, a zasługują one głównie za to na szczególniejszą pochwałę, że chociaż miasto nic na nie nie wydaje, jednak doskonale funkcjonują, i mieszkańcy są zadowoleni.

— *Davvero?* (Istotnie?) Słowa pańskie wielce mnie zaintrygowały. Jakżeż więc są te wodociągi urządzone?

— Mają one trzy krany. Pierwszy z nich nazywa się „Giesshübler“ i aby napić się z niego, trzeba wpierw wrzucić do otworu 19 centów. Woda z tego kranu jest zawsze świeża, a i kran sam funkcjonuje prawidłowo. Kran drugi ma napis: „Woda sodowa wyrobu Rządy i Chmurskiego“ i aby z niego korzystać, można w otwór wrzucić ile się podoba, 2 centy, 4 centy, nawet więcej. Kran trzeci, miejski, jest bezpłatny, a woda z niego ma ten przymiot, że nie tyle gasi pragnienie, ile nasyca, zaś lekarzom znakomicie przysparza dochodów.

— *Corpo di Bacco!* pan mi coś arcyciekawego opowiadasz! — zawołał król rozweselony. — I miasto jest zadowolone z tych wodociągów?

— Nad wszelkie spodziewanie, a że w rzeczy samej tak jest, udowadnia to najlepiej ta okoliczność, iż nasz prezydent rządzi wszechwładnie, a Rada miejska tylko głową kiwa i nigdy nie zdobędzie się ani na energiczniejszą interpelację, ani na samodzielny wniosek.

— Szczęśliwy ten wasz *sindaco**). Jak się on też nazywa?

— *Signor Giuseppe Friedleino.*

— *Diavolo!* muszę sobie zapisać to nazwisko.

To powiedziawszy Humbert wyjął notatkę z kieszeni i złotym ołóweczkiem zapisał w niej nazwisko ojca grodu podwawelskiego.

— A jak tam u was z kanalizacją? — król pytał dalej z wzrastającą ciekawością.

— Wyśmienicie! Ktokolwiek u nas ma co wynieść przy sobie, lub w sobie, wychodzi za miasto o dwa lub trzy kilometry, im dalej tem lepiej, a tam czyniąc ulgę swojemu sumieniu, przyczynia się nietylko do utrzymania świeżego powietrza w mieście, lecz pomnaża także bogactwo krajowe przez racjonalne nawożenie pól.

— *E cosa maravigliosa!* (rzecz cudowna) — zawołał król z uniesieniem. — A jak tam budownictwo?

— Wzorowe. U nas, gdy zburzymy dwie stare kamienice, zawsze z tego samego materjału stawiamy trzy nowe. Trzymamy się w tem przepisów owego ojca, który posyłając synowi stary frak, kazał mu zrobić z niego nowy surdut. Brakuje czego z przodu, urywamy z tyłu i sztukujemy. Fundamentów nie zakładamy zbyt głębokich, bo i bez nich, gdy dom się osiędzie, będzie stał dłużej, niż tego pragną sami przedsiębiorcy budowy, wapnem nie przeładowujemy murów, bo im więcej suchego piasku, tem lżejsza cała budowa, prócz tego ma ona wtedy stały przewiew przez mury, co jest wysoce hygjenicznem i dla handlarzy węglem korzystnem.

— A nie walą się te domy?

— Nie wszystkie.

— *Sa Lei, il vostro sindaco è un genio!* (Wiesz pan, wasz prezydent miasta to genjusz). Jakże byłbym szczęśliwym, gdybym go mógł dostać bodaj na kilka lat do Rzymu. My nie możemy sobie dać rady ani z budownictwem, ani z kanalizacją, ani z wodociągami, a wasz *signor* Fridlaino, jak widzę, wszystkie te trudności rozwiązał ku ogólnemu zadowoleniu. Jak pan sądzisz, nie zechciałby on do nas przyjechać?

— Zdaje mi się, że chętnieby się wybrał do Rzymu, bo, o ile wiem, pała on z dawien dawna żądzą zasłynięcia na szerszej widowni, my zaś wysłalibyśmy go bez zaliczki i nie domagalibyśmy się żadnego pobrania...

— *Va bene!* Pomówimy jeszcze o tem.

Tu król mnie pożegnał, równocześnie zaś zbliżył się do mnie w. ochmistrz dworu i szepnął mi do ucha, że ów trzeci jegomość we fraku, który z monarchami wprzód rozmawiał, jest to król Oskar szwedzki, bawiący w Wenecji w ścisłem incognito, który teraz chciałby ze mną chwilę pomówić.

Pospieszyłem doń z tem większem zadowoleniem, że rozumna i poważna fizjognomja tego człowieka sprawiła na mnie jak najlepsze wrażenie.

*) Tak nazywa się po włosku burmistrz.

— Mam wielką sympatję dla Polaków — przemówił po francusku wnuk Bernadotiego — i dlatego bardzo się cieszę, że pana tu spotykam, zresztą mam i mały interesik. Jan panu może wiadomo, zajmuję się gorliwie sprawami naukowemi, szczególnie odkrycia i wynalazki wielce mnie interesują, że zaś teraz sprawa bieguna północnego jest na porządku dziennym i bardzo być może, że z tego powodu spór wyniknie, więc szukam zdolnego prawnika, któryby mi tu dopomógł. Jeżeli Nansen biegun odkryje, Norwegja będzie sobie do niego rościła pretensję, a jeżeli równocześnie odkryją go ci, którzy właśnie teraz wybierają się tam balonem, natenczas Szwecja, a może i Francja zechce uważać biegun północny za swoją własność. W takiem położeniu tęgi adwokat jest niezbędny, że zaś u nas w Szwecji pieniactwem ludzie się nie zajmują, więc też i o dzielnego obrońcę bardzo nam trudno, ale niedawno temu czytałem w naszym *Justizköld*, że wy tam w Krakowie macie jakiegoś znakomitego adwokata, który jedną i tę samą rzecz potrafi równocześnie chwalić i ganić. Czy tak?

Zamyśliłem się chwilę.

— Przepraszam *Sire!* ja sobie nie przypominam, byśmy takiego mieli.

— Nazywa się, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, Ablam... Ablam...

— Aha, Abłamowicz! Tak jest, w Krakowie mamy adwokata tego nazwiska, lecz mylnie ktoś Waszej Królewskiej Mości powiedział, że ten człowiek równocześnie jedną i tę samą rzecz chwali i gani. On na to zawsze potrzebuje pewnego czasu.

— Lecz czy prawda, że on w sądzie lubi się czesać, że sędziów przysięgłych lornetuje, że przychodzi w stroju zaniedbanym, że przysięgli nawet skarżą się czasem na niego przed przewodniczącym trybunału? Radbym wpierw o tem wszystkiem wiedzieć, nim go zaproszę do Sztockholmu, bo u nas strona zewnętrzna wielką rolę odgrywa.

— Mogę upewnić Waszą Królewską Mość, że wszystko, co w *Justizköldzie* widocznie jakiś złośliwy korespondent napisał o naszym drze Abłamowiczu, jest nieprawdą. Ten, o którym mówimy, jest dżentelmenem w każdym calu, ubiera się zawsze wytwornie, każdy może sobie z niego wzór brać, w sądach polubownych za pieniądze nie zasiada, sprawy brudnej nie broni nigdy z przekonania... słowem, należy do tych rzadkich prawników, którym śmiało można powierzyć nawet obronę bieguna północnego.

— A wygrywa sprawy?

— Ilekroć nie przegra, zawsze wygra.

— Skoro tak, więc w razie potrzeby nie omieszkam zgłosić się do Krakowa i w tym celu zamawiam sobie pańskie pośrednictwo.

— Z największą przyjemnością.

W tem miejscu urwała się rozmowa. I tu kończą się moje wrażenia z uroczystości weneckich.

Verax.

Święty Józef.

Z francuskiego.

Padre Rocco, sławny kaznodzieja włoski popularniejszym jest może w Neapolu, niż Bossuet lub Fénelon razem wzięci w Paryżu.

Jego kazania, a w szczególności jego dysputy, które często urządzał pomiędzy ludem, zjednały mu szeroką sławę we Włoszech. W dysputach tych uczył, przekonywał, spierał się z ludem, gdyż kto chciał, mógł się z nim puszczać w polemikę, takie bowiem dysputy odbywały się w kościele w godzinach popołudniowych bez żadnego innego nabożeństwa.

Gdy Padre Rocco wstąpił na wzniesienie, na ten cel przygotowane w kościele, zalegała grobowa cisza. Wtedy zaczynał zwykle od rozmówek z ludem, potem przechodził do opisu świętego, o którym miał mówić, podnosząc jego jakąś szczególną zaletę, potęgę stawiennictwa za nami i niemożliwość prawie nieuwzględnienia próśb jego za nami u Boga.

Padre Rocco był szczególnym wielbicielem św. Józefa i gdy raz wysławiał jego cnoty i ogromną potęgę władzy w niebie, jeden z lazzaronów przerwał mu, wołając:

— Oh! ojcze Rocco, możeś przesadził trochę. Mamy przecie najpierw Boga, który idzie przed św. Józefem.

— Naturalnie — rzekł niezmieszany kapłan, przewidując już polemikę.

— Potem idzie Madonna!...

— Za pozwoleniem: — Madonna jest żoną św. Józefa.

— Jest pan Jezus.

— Pan Jezus jest jego synem.

— To ma znaczyć?

— Że mąż i ojciec idą przed żoną i synem.

— To niby św. Józef ma więcej władzy niż Madonna?

— Jako mąż...

— Więcej niż pan Jezus?

— Jako ojciec...

Lazzaroni spojrzeli jeden na drugiego. Padre Rocco zaś zagalopowawszy się może za daleko, szukał w myśli argumentu, by poprzeć co powiedział i utrzymać powagę swego ulubionego świętego.

— Jakąż władzę tak wielką przypisujesz ojcze św. Józefowi?

— Ma on moc wpuszczać do nieba tych wszystkich, którzy za życia o to go proszą.

— Cokolwiekby zrobili?

— Tak jest.

— Nawet złodziei?

— Wszystkich złodziei.

— Nawet zbójów?

— Nawet zbójów.

— Może nawet morderców?

— Nawet morderców.

Wielki szmer powstał między słuchaczami. Padre Rocco założył ręce i patrzał spokojnie.

— Może nie wierzycie?

— Hm!

— Chcecie, żebym was przekonał? Chcecie, bym wam opowiedział, co się stało z Mastrillem?

— Z Mastrillem? Tym bandytą?

— Z nim właśnie.

— Którego skazano na śmierć?

— I którego powieszono przed kilkoma dniami.

— I cóż się z nim stało? Słuchamy, opowiedz nam — zawołali.

— Otóż, jak wiecie, Mastrilla był to rozbójnik i bandyta bez czci i wiary, ale czego nie wiecie, to tego, że Mastrilla czcił przez całe życie św. Józefa.

— Mastrilla pobożny!

— Codziennie modlił się on do św. Józefa, wyznając Mu, że był wielkim grzesznikiem, prosił go jednak, by był łaskaw na niego w godzinę śmierci.

— No i cóż?

— Gdy stanął na rusztowaniu prosił, by mu pozwolono chwilę się pomodlić do swego patrona. Wtedy powtórzył swoją codzienną prośbę do św. Józefa, poczem sznur, na którym miał zginąć, podniósł go do góry.

Otóż zaledwie dusza jego rozstała się z ciałem, ujrzał Mastrilla przed sobą dwie drogi, z których jedna szła prosto do góry, druga spadała na dół.

Gdy się zostało powieszonym, wybaczyć można takiemu, że na chwilę straci głowę! To też nie namyślając się długo, nasz biedny Mastrilla puścił się na dół. Tak szedł i szedł przez dzień cały i noc całą, aż wreszcie znalazł się przy bramie. Była to brama piekła. Zastukał do niej i ukazał mu się zaraz we drzwiach Pluton.

— Zkąd przychodzisz? — zapytał.

— Idę z tamtego świata.

— Czego chcesz?

— Chcę wejść.

— Któż jesteś?

— Mastrilla.

— Wynoś się ztąd! Całe życie twoje obiecywało nam, że tu przyjdziesz, aleś się codziennie umizgał do św. Józefa, więc nie masz co tu robić. Wynoś się ztąd! Idź szukaj twego świętego i daj nam spokój.

— A gdzież go znajdę?

— W niebie.

— Którędyż mam iść, bym się tam dostał?

— W górę, ciągle w górę!

— I nie zbłądzę?

— Żadną miarą; droga prosta.

— Stokrotne dzięki.

— Nie ma za co.

Pluton zatrzasnął drzwi, a Mastrilla poszedł dalej.

Idąc tak przez dwa dni i trzy noce, stanął przed bramą nieba. Gdy zapukał, św. Piotr ukazał się natychmiast.

— A skądże idziesz?

— Wracam z piekła.

— Czego tu chcesz.

— Chcę wejść do nieba.

— Któż jesteś?

— Mastrilla.

— Co? Mastrilla? ów bandyta? — krzyknął św. Piotr. — I ty chcesz wejść do nieba?

— Cóż mam robić. W piekle mię nie przyjęli, muszę przecie gdzieś osiąść na tym świecie.

— A dlaczego cię w piekle nie przyjęli?

— Bom przez całe życie modlił się do świętego Józefa.

— Oho, jeszcze jeden — mruknął do siebie św. Piotr. — To się chyba nigdy nie skończy z tym św. Józefem! Ale dosyć już tego! Nie wejdziesz tu i basta!

— Jakto nie wejdę?

— Tak, że nie wejdziesz i kwita!

— A gdzież mam iść?

— A idź sobie choćby do samego djabła!

— Stamtąd właśnie wracam.

— Idź, gdzie chcesz.

— Nie pójdę. Tu jestem, siadam i ani się ruszę.

— Jakto, ani się ruszysz?

— Ot tak, zostanę tu i nie pójdę dalej.

— I myślisz, że wbrew mej woli tu się wciśniesz?

— Tak właśnie myślę.

— Na czyjąż protekcję rachujesz?

— Na protekcję św. Józefa.

Św. Piotr już zaczynał na dobre niecierpliwić się, gdy w tem odezwał się głos tuż obok nich:

— Któż tam mnie potrzebuje?

— Ja, ja — zawołał Mastrilla domyśliwszy się, że to głos św. Józefa.

— Masz tobie — rzekł św. Piotr — jeszcze tego brakowało.

— O cóż idzie? — rzekł św. Józef.

— O nic — zawołał św. Piotr — zupełnie o nic.

— Jakto o nic! — krzyknął Mastrilla. — To się nazywa o nic? Każesz mi iść do piekła i mówisz, że to nic?

— Dlaczegóż go posyłasz do piekła? — spytał św. Józef.

— Dlatego, że to rozbójnik.

— Ale może on się nawrócił w godzinę śmierci. Komużeś się polecił, umierając?

— Tobie, św. Józefie. Tobie samemu poleciłem się w godzinę śmierci, jak i przez całe życie to czyniłem.

— Któż ty jesteś?

— Mastrilla.

— Jakto? To ty jesteś Mastrilla, mój kochany Mastrilla! I św. Piotr nie pozwala ci wejść do nieba?

— Jako widzisz, mój wielki patronie.

— Mój drogi — rzekł św. Józef do św. Piotra — myślę, że zmienisz swoje zdanie i wpuścisz do nieba tego dobrego Mastrillę.

— Jako żywo nie wpuszczę! Jestem tu klucznikiem albo nim nie jestem. Jeżeli ze mnie nie są kontenci, niech mnie usuną, ale dopóki ja tu jestem, będę wpuszczał tylko tych, których mi się wpuścić podoba.

— W takim razie — rzekł św. Józef — myślę, że nie będziesz miał nic przeciw temu, jeżeli sprawę tę przedstawimy przed tron Pana Boga. Nie zaprzeczysz przecie Jemu prawa wpuszczać do nieba, kogo Mu się podoba.

— Niech i tak będzie — rzekł św. Piotr.

— Tymczasem zechciej wpuścić Mastrillę.

— Niech czeka u bramy.

— Czy mam tu czekać — rzekł Mastrilla do św. Józefa — czy też przemocą wejść do nieba?

— Lepiej poczekaj przyjacielu. Jeżeli cię tu nie wpuszczą, pójdziemy stąd razem.

— Czekam więc.

Mastrilla usiadł a dwaj święci poszli do Boga. Zastali Go właśnie po śniadaniu, grającego w szachy z Madonną.

— Cóż znowu nowego — rzekł Pan Bóg, ujrzawszy ich. — Czego chcecie?

— Panie — rzekł św. Piotr — to św. Józef...

— Panie — przerwał św. Józef — to św. Piotr...

— Cóż to? Znowu jakieś nieporozumienie?

— Panie — rzekł św. Józef — św. Piotr nie chce wpuścić do nieba mego protegowanego.

— Panie — rzekł św. Piotr — to św. Józef, który chce cały świat tam wprowadzić.

— Cicho — rzekł Pan — zobaczymy o co idzie.

Św. Piotr postąpił krok naprzód i rzekł:

— Jestem ja, Panie, klucznikiem, czy nim nie jestem?

— Jesteś nim.

— Czy mam prawo wpuścić do nieba lub nie wpuścić?

No masz, chociaż powinieneś zawsze kierować się raczej łagodnością, niż surowem obejściem się. Być sprawiedliwym ale i miłosiernym. Któż tam jest?...

— Jakiś zbój, złodziej. Jakiś bandyda!

— Ah!...

— Którego powieszono na ziemi!

— Och! Prawda to św. Józefie?

— Panie — odpowiedział św. Józef zmieszany.

— Prawda to, czy nie? Odpowiadaj!

— Prawda Panie — rzekł cicho.

— A co! — rzekł św. Piotr tryumfująco.

— Ale ten człowiek czcił mnie przez całe życie — rzekł św. Józef — i ja nie mogę go tak opuścić.

— Jak się on nazywa? — spytał Pan.

— Mastrilla — rzekł św. Józef z pewnem wahaniem.

— Czekajno, czekaj — mówił Pan, szukając w myśli.—Mastrilla... Mastrilla... ależ ja go doskonale sobie przypominam!

— Złodziej — wtrącił św. Piotr. — Rozbójnik.

— Który krył się zawsze pomiędzy Rzymem a Neapolem?

— Tak, tak, ten sam.

— Co rabował kościoły?

— Właśnie.

— Jakto? I tego człowieka chcesz wpuścić do nieba? — rzekł Pan do św. Józefa.

— Dlaczegóżby nie... Dobry łotr jest tu także...

— Zawsze mi to powtarzacie! — rzekł Pan Bóg, któremu, ile razy robił trudności w puszczeniu kogo do raju, Święci stawiali za przykład dobrego łotra.

— Ja go muszę wpuścić do nieba — rzekł św. Józef.

— A no, to zobaczymy! — zawołał Pan. I zwracając się do św. Piotra rzekł: — Słuchajno.

— Słucham, mój Panie.

— Zabraniam ci stanowczo wpuszczać do nieba Mastrillę, rozumiesz!

— Rozumiem, nie ma obawy, by się tam dostał...

— A więc on tu nie wejdzie? — spytał św. Józef.

— Powiedziałem — rzekł Pan.

— To ostatnie Twoje słowo, Panie?

— Nieodwołalne.

— Może jeszcze odwołasz je Panie?

— Ani myślę.

— W takim razie padam do nóg Twych, Panie!

— Co to ma znaczyć?

— Idę ztąd.

— Dokąd?

— Wracam do Nazaret.

— Co? Do Nazaret?

— Tak jest. Nie mam co tu robić.

— Mój kochany, uważaj, że już po raz dziesiąty grozisz mi oddaleniem się.

— Już Ci, o Panie mój, jedenasty raz tego nie uczynię.

— To i lepiej.

— A więc pozwalasz mi, Panie, odejść?

— Z całą przyjemnością.

— Nie zatrzymujesz mnie?

— Ani chwili.

— I nie będziesz żałował tego?

— Nie sądzę.

— Zobaczymy.

— A no, zobaczymy.

— Zastanów się jeszcze Panie nad tem.

— Jużem się zastanowił.

— Żegnam więc, Panie.

— Bywaj zdrów, mój Józefie.

— Jeszcze jest czas — rzekł św. Józef odwracając się.

— Jeszcześ tu?

— Jeszcze, ale już idę.

— Szczęśliwej podróży.

— Dziękuję.

Podczas tej rozmowy Najświętsza Panna usunęła się na bok, by nie przeszkadzać. Słuchała właśnie śpiewu aniołów i dziewic ze swego orszaku. Śpiewali „Stabat Mater" Pergolesa, pod batutą Archanioła Gabrjela.

— Pst! — szepnął św. Józef.

— Co jest? — zapytała Madonna.

— Musisz iść ze mną.

— Dokąd?

— Mniejsza o to.

— No, jednak...

— Jesteś moją żoną czy nie?

— Jestem, mój Panie.

— Powinnaś więc być mi posłuszną.

— Idę mój Panie gdzie każesz.

— Dobrze, chodź więc.

I Najświętsza Panna z tą wrodzoną pokorą i posłuszeństwem cechującem ją na ziemi i niebie, poszła za św. Józefem.

— Sama idziesz? — rzekł św. Józef.

— Idę jakem przyszła...

— Nie oto idzie.

— Cóż mam czynić?

— Zabierz ze sobą orszak twój cały.

Na znak Madonny, powstały całe chóry dziewic, aniołów i archaniołów, cherubinów i serafinów i poszły za swoją Królową.

— Dobrze — rzekł św. Józef.

Cały ten orszak poszedł do Pana Jezusa.

Pan Jezus przeglądał właśnie Ewangelję św. Mateusza i poprawiał niektóre błędy ortograficzne, które się wkradły przy nowem wydaniu.

— Pst! — szepnął św. Józef.

— Co jest? — zapytał Pan Jezus.

— Musisz iść z nami.

— Dokąd?

— Mniejsza o to.

— Ale zawsze chciałbym...

— Jesteś moim synem, czy nie jesteś?

— Jestem.

— Syn powinien słuchać ojca.

— Idę ojcze, gdzie każesz.

— Dobrze, chodź więc.

I Zbawiciel z tą cichością i pokorą, która Go na ziemi tak wielkim czyniła, poszedł za matką i ojcem.

— Sam idziesz? — rzekł św. Józef

— Idę, jakem przyszedł.

— Nie oto idzie.

— Cóż mam czynić?

— Weź ze sobą świtę całą.

Na znak Zbawiciela, otoczyły Go całe zastępy

świętych wyznawców i męczenników z apostołami na czele, św. Piotr także stanąć musiał kwaśny i nie w humorze.

— Chodźcie za mną! — rzekł Chrystus.

Wszystko to, niebo całe skierowało się ku bramie. Po drodze spotkali Ducha świętego rozmawiającego z gołębicą Noego, który zapytał co znaczy ta procesja.

— Idziemy stwarzać nowy raj, — rzekł św. Józef.

— A to znowu co?

— Nie chcemy tu już siedzieć.

— A cóż Pan Bóg na to?

— Zostawiamy Go w spokoju.

— To jakieś nieporozumienie — rzekł Duch święty.

Czekajcie no, pójdę do Pana, by się z nim rozmówić.

— Dobrze, ale spiesz się, bo nie mamy czasu.

Duch święty poleciał przed tron Pana i tam usiadł na ramieniu Stwórcy.

— A to ty? — rzekł Pan. — Cóż tam słychać?

— Straszne rzeczy się dzieją!

— Cóż takiego?

— Nic nie wiesz?

— Gadaj!

— Św. Józef odchodzi.

— To wiem. Samem go pożegnał.

— Ty Panie?

— Ja sam. Za dużo mi już było tego. Zaczynał już tu gospodarować na dobre.

— A toś Panie nawarzył piwa!

— Jakto?

— Madonna także z nim idzie.

— Ba!

— I pan Jezus.

— Niepodobna!

— Z Madonną idzie cały jej orszak z Serafinami, Cherubinami, aniołami i archaniołami, dziewicami...

— Co mówisz?

— Pan Jezus zabiera ze sobą wszystkich apostołów, wyznawców, męczenników...

— Ależ to jest czysty bunt!

— Ogólny.

— A któż tu zostanie?

— Prorocy Izajasz, Jeremjasz, Ezechiel...

— Ależ ja się zanudzę tu w tem towarzystwie!

— I ja tak myślę.

— Ale może przesadzasz?

— Spojrz Panie!

I spojrzał Bóg przez okno i zobaczył niezliczoną rzeszę, stojącą przed bramą niebieską. Całe niebo było puste, z wyjątkiem jednego kącika, w którym stali prorocy, rozmawiający pocichu z zafrasowanemi minami.

— I cóż zrobimy? — zapytał Pan Ducha św.

— Nie wiem o co idzie, nie mogę więc radzić.

W kilku słowach Pan Bóg opowiedział rzecz całą.

— Mojem zdaniem, źleś uczynił Panie.

— Dla czego?

— Bo tu nie idzie o zasługi protegowanego. Ale kto go proteguje.

— Ubogi cieśla!

— Otóż to podnieść tak wysoko małych! Teraz nadużywa swej władzy.

— Ale koniec końcem, co robić?

— Musisz się Panie zgodzić na jego żądanie. Innego sposobu wyjścia nie widzę.

— On mi gotów stawiać nowe warunki.

— Trzeba je przyjąć bez namysłu. Im dłużej będziesz się z nim targował, tem trudniej będzie skończyć.

— Zawołaj go!

Duch święty zastał cały orszak stojący przy bramie.

— Pan cię wzywa do siebie — rzekł Duch św. do śgo Józefa.

— Spodziewałem się tego — rzekł tenże.

— Możesz pozwolić wszystkim rozejść się.

— O nie, przeciwnie, proszę wszystkich, by tu czekali na mnie.

— Zostaniemy tutaj — rzekł Pan Jezus.

Św. Józef poszedł w ślad za Duchem św.

— Zatwardziała głowo — rzekł Pan do śgo Józefa, gdy ten zbliżył się do tronu.

— Racz wysłuchać Panie sługi Twego — odezwał się św. Józef. — Albom jest święty i Tobie miły, albo nim nie jestem. Mam więc prawo wzywających mnie ratować, lub nie. Będę więc ich ratował, albo nie mam tu co robić.

— Dobrze, dobrze, nie mówmy już o tem.

— Przeciwnie, Panie, właśnie mówmy.

— Czegóż chcesz?

— Chcę, by ci, którzy za życia wzywają mojej pomocy, mogli na mnie rachować po śmierci, że ich nie opuszczę.

— Do licha! A wiesz ty czego żądasz odemnie?

— Doskonale.

— Gdybym wszystkim dał taką władzę...

— Ja nie jestem wszyscy...

— Skończmy więc.

— Tego pragnę.

— Na czwartą część przystanę.

— W takim razie wracam do orszaku.

I św. Józef zrobił krok naprzód.

— Połowę!

— Żegnam cię Panie!

I św. Józef zbliżył się do progu.

— Trzy części.

— Sługa Pana mego.

I św. Józef wyszedł.

— Czy on na prawdę poszedł — spytał Pan Bóg Ducha św.

— Całkiem odszedł.

— I nie wróci?

— Nie zdaje mi się.

— Leć za nim!

Duch św. poleciał i z wielkim trudem zawrócił św. Józefa.

— Dobrze więc — rzekł Pan. — Ponieważ, jak widzę, jesteś tu większym panem odemnie, niech więc tak będzie, jak chcesz.

— Proszę więc zawołać notarjusza.

— A to na co? Czy ci słowo moje nie wystarczy?

— Jak najzupełniej. Ale *verba volant* — rzekł.

— Wołać notarjusza! — rzekł Pan.

Spisano więc akt formalny, który św. Józef starannie złożył i schował do kieszeni.

— Otóż pytam was — zakończył Padre Rocco — czy jeszcze wątpicie w potężną opiekę św. Józefa?

— Wielki zaiste święty! — krzyknęli Lazzaroni — niech żyje św. Józef! Wiwat ojciec Chrystusa! wiwat mąż Madonny! Niech żyje Madonna! Niech żyje Pan Jezus! Wiwat!! A niektórzy z więcej zapalonych zaczęli krzyczeć na św. Piotra, ale się zaraz zmitygowali, wołając: *Vivant omnes!*

Stefan.

Czy medycyna jest sztuką, czy nauką?

W końcu roku zeszłego warszawska *Gazeta Lekarska,* cierpiąca oddawna na wstręt do wszelkich prac filozoficznych, rozcinających skalpelem krytyki bądź metody lecznicze, bądź wreszcie etykę lekarską, zamieściła w swych łamach aż dwa artykuły na temat powyższy. Jeden artykuł wyszedł z pod pióra dra H. Nusbauma, drugi z pod pióra dra Zygmunta Kramsztyka. Nusbaum zaraz z samego początku stawia zdanie, że „medycyna winna być zarazem i sztuką i nauką“, ale go należycie i zrozumiale nie rozwija; natomiast Kramsztyk plącze się z myślami i w wielu razach sam sobie przeczy. Raz mówi, że „każde działanie lekarza od wiadomości nabytych zależy; sztuka jest córką wiedzy, a więc i ścisłe rozdzielanie sztuki od nauki, można uważać za sprawę jałową i niepożyteczną“. Drugi raz znów dowodzi, że „nieprawdą jest, że leczenie, to bezpośredni wynik wiadomości naukowych“ itd. Przyznać jednak pracy dra Z. Kramsztyka należy, że bardzo dużo w sobie pięknych, luźnie rzuconych myśli zawiera, myśli, mogących służyć za tematy do całego szeregu zajmujących i pożytecznych artykułów, a niektóre nawet, wypisane złotemi literami, powinny leżeć na biurku każdego lekarza.

Medycyna *) od czasu swojego istnienia zawsze mianem „sztuki“ obdarzoną bywała. Czy to sięgniemy do Rzymian, czy do Greków, czy jeszcze w bardziej zamierzchłą przeszłość, zajrzymy do Egipcjan i Hindusów, wszędzie się z tą nazwą spotkamy. Już sam fakt ten, że różne ludy w różnych czasach medycynę za sztukę uważały, jest poważnego znaczenia i musi mieć swoje przyczyny. Rodzi się jednak tu pytanie, co to jest sztuka? jak ją rozumieć należy? Otóż, sztuką zowiemy to, do czego nie każdy jest zdolny, czego się ani sami, ani też innych nauczyć nie możemy; sztuka jest darem wrodzonym. Nie jest to wynik wiedzy lub coś, co w jakieś ścisłe ująć można ramki, jak tego chce Nusbaum. Prawdziwa sztuka, jakiegokolwiek byłaby pokroju, nie zna ram, nie zna żadnych ograniczeń i raz ujęta w szranki zamknięte, zostaje skalaną, staje się rzemiosłem. Konserwatorjum nie robi artysty; można grać biegle na instrumencie, można zdumiewać swoją techniką wyrobioną, a pomimo tego nie być w możności wydobyć duszy z instrumentu dla braku iskry Bożej, tego daru, jaki artyzmem zowiemy. Artystą czyli sztukmistrzem trzeba się narodzić, zrobić się można tylko rzemieślnikiem. Że sztuka potrafi sama bez nauki istnieć, dowodem są dzieje każdej sztuki, dzieje ludów niecywilizowanych, a wreszcie życie nasze codzienne, tak obficie w tym kierunku dostarczające nam faktów.

Istnieje pewien dar leczenia, jakiego żaden uniwersytet nie wpoi, a jaki człowiek z sobą na świat przynosi. Lekarz, obdarzony takim darem od przyrody, już samą tylko swoją obecnością bez żadnych leków ulgę choremu przynosi, napawa go nadzieją i wiarą a bywa potężnym bodźcem jego czynności życiowych. Ręka takiego lekarza, położona na głowę, ból uśmierza tak, jak sympatja zmiękcza bóle cierpiącego serca. To też dziwić nikogo nie powinno, że felczer, obdarzony owym darem leczenia, będzie bardziej skutecznych rad udzielał, niż lekarz z dziesięciu dyplomami lekarskiemi, ale wcale daru takiego nieposiadający. Ks. Kneipp i jego działalność wymownym są tego dowodem. Zresztą historja medycyny stwierdza szeregiem faktów, że zmieniały i zmieniają się ustawicznie metody i kierunki leczenia, będące nieraz wprost sobie przeciwne, a jednak każdy kierunek, każda metoda miały swoich znakomitych lekarzy, którzy z powodu skutecznych rad i wskazówek wielką sławą i uznaniem wśród szerszych mas się cieszyli. Były to jednostki; ale podczas, gdy w rękach tych jednostek pewne środki i metody były zbawcze, w rękach innych lekarzy, takie same, jak i oni, posiadających dyplomy, okazywały się nieskuteczne, a nawet szkodliwe. Pierwsi byli sztukmistrzami, drudzy rzemieślnikami. Jedne i też same skrzypce w rękach artysty tłumy pociągać będą, w rękach desperata, wydającego się za artystę, zaledwie garstkę niewybrednych zadowolnić mogą. Błędny więc jest pogląd, że medycyna to nauka, to wynik wiedzy. Jest to dar wrodzony, dar rozwijający się i potężniejący pod wpływem wiedzy. Nie ten jest lekarzem, kto dyplom lekarski posiada, lecz ten, kto wraz z dyplomem ma jeszcze pewien dar wrodzony, dar, jakiego nauką zdobyć niepodobna. To też słusznie dr Z. Kramsztyk w *Gazecie Lekarskiej* zaznacza, że „ilekroć lekarz skutecznej rady udzieli choremu, ilekroć chory, dzięki tej radzie, życie zachowa, zdrowie odzyszcze, pozbędzie się kalectwa — lekarz dokonał ważnego czynu, spełnił swe zadanie, a człowiekowi i społeczeństwu, dobrze się zasłużył. Z dwóch lekarzy, z których jeden znanym jest w nauce, drugi nieznanym, nie zawsze, wcale nie zawsze ten pierwszy jest lepszym, świetniejszym i więcej zasłużonym lekarzem“. A zatem sam dr Kramsztyk stwierdza, że sztuka lecznicza nie jest coś, co nieodzownie i „nierozdzielnie“ z nauką zespolone być musi. Sama znajomość podstaw harmonii, bez daru kompozytorskiego, nie stanowi jeszcze kompozytora. Toż samo i znajomość należyta metod leczniczych wraz z znajomością innych nauk lekarskich, nie stanowią prawdziwego lekarza, potrzeba do tego wszystkiego jeszcze pewnego daru wrodzonego.

W medycynie nie może być mowy, że ta lub owa metoda leczenia jest dobrą i naukową, a tamta złą i nienaukową i że należy tej, a nie innej, się trzymać. Sztuka leczenia tak, jak i każda inna sztuka, nie zna granic i żadnemi formułkami zacieśnianą być nie może. Niewolnicze trzymanie się pewnych kierunków lub sposobów leczenia doprowadziło i doprowadza lekarzy do najbardziej nielogicznych wniosków, z któremi ani w teorji, ani w praktyce zawsze pewna mała liczba prawdziwych lekarzy się nie zgadzała i nie zgadza, a które wielkie krzywdy ludzkości wyrządzały i wyrządzają. Wszyscy pamiętamy jeszcze te czasy, kiedy na podstawie wniosków fałszywych, uważanych za ostatni wynik nauki, mordowano całe zastępy chorych. Dość jest wspomnieć o puszczaniu krwi zwłaszcza suchotnikom i tyfusowym, o karmieniu chorych opjum, merkurjuszem, wódką, wstrzykiwaniu tuberkuliny itd. itd.

Lekarz winien być przyjacielem i sługą przyrody, ale nie jej wrogiem. Nie lekarz leczy, lecz przyroda! Lekarz, co już zaznaczyłem powyżej, znający naukowo wszystkie środki i metody lecznicze, a nie mający tego daru, aby w danym razie użyć ich harmonijnie, jest podobny do uczonego muzyka, który znając zasady harmonji, a nie posiadający artyzmu, płodzić będzie utwory wymęczone, które nigdy nikogo nie zadowolą i zadowolić nie mogą. Wielu kończy konserwatorjum lub Akademję sztuk pięknych, ale pomimo to, prawdziwi artyści wciąż są rzadkością i świat ich złotem opłaca. Wielu lekarzy rok rocznie wychodzi z Uniwersytetów, ale pomimo to rzadko można spotkać prawdziwego lekarza. Nic więc dziwnego, że medycyna tak, jak ją drzy Nusbaum i Kramsztyk pojmują, kierowana po większej części przez ludzi niepowołanych, zrobiła z ustroju ludzkiego ratusz średniowieczny, w którym burmistrzują po swojemu lekarze i gwałcą zasadnicze prawa przyrody, obarczając chorego niepotrzebnym i ciężkim pokarmem, podniecając ustrój i wlewając weń najrozmaitsze specyfiki, wynalezione jedynie po to, aby nabijać kieszenie fabrykantom. Śmiało rzec możemy, że dziś ten lekarzem-sztukmistrzem, kto sztukę nieszkodzenia choremu posiada.

*) Wyrazu „medycyna“ używamy w znaczeniu praktycznem, a nie jako zbiór wiadomości lekarskich.

KRONIKA.

Kraków 19 kwietnia.

Kalendarz kościelny. Dziś, Niedziela Grobu Jezusa, Jerzego, papieża i Antonji, panny, jutro Agnieszki z Poliziano i Teotyma, pojutrze Anzelma, biskupa wyznawcy.

Kalendarz myśliwski. W miesiącu kwietniu polować wolno jedynie na cietrzewie i głuszce, na wszelką zaś inną zwierzynę i ptactwo istnieje czas ochrony.

Kalendarz rybacki. W kwietniu wolno łowić wszelkie ryby, jak: brzanki, brzany i cyrty; leszcze, łososie, pstrągi, węgorze, czeczugi, klonki, jazie i szczupaki i raka samca.

Ochraniać należy: bolenie, lipienie, wyrozuby, czopy, sandacze, świnki i głowacice, jak i raka samicę.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godzinie 4 minut 38, zachód przypada o godzinie 6 minut 39, długość dnia godzin 14 minut 1.

Zmiana lunacji. Pierwsza kwadra księżyca przypada jutro dnia 20 bm. o godzinie 11 minut 46 wieczór.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Koło męskie. Tow. Szkoły ludowej w Krakowie, odbyło wczoraj swe zgromadzenie w sali radnej pod przewodnictwem ks. Chromeckiego. Sekretarz p. Sawiński odczytał protokoły ze zgromadzeń odbytych w dniach pierwszych marca i 24 listopada r. z. Poczem ks. Chromecki zawiadomił zebranych: 1) Utworzenia Koła w Podgórzu podjął się burmistrz tamtejszy; 2) Rada szkolna kraj. zezwoliła na utworzenie szkoły dla analfabetów w jednej z sal w Szkole ludowej na Kleparzu pod warunkiem jednak, że wszelkie koszty prowadzenia takiej szkoły poniesie Tow. Szkoły ludowej.

Sprawozdanie Koła brzmi:

Koło liczy obecnie ogółem 546 członków. W kasie jest 1167 złr. dochodu, rozchód wynosi 1166 zł. 33½ ct. Sprawozdanie to nietylko otrzymało absolutorjum, ale nadto wyrażono skarbnikowi p. Reinerowi podziękowanie. Przed przystąpieniem do wyboru nowego zarządu, ks. Chromecki oświadczył stanowczo, że ponownego wyboru na przewodniczącego nie przyjmie, prosząc o wprowadzenie świeżych sił do zarządu. Wybrano więc na prezesa p. Kazimierza Bartoszewicza, który wobec wyraźnego oświadczenia swojego poprzednika, wybór przyjął, prosząc zgromadzenie o podziękowanie ks. Chromeckiemu za dotychczasowe przewodnictwo. Życzeniu temu zgromadzenie uczyniło zadość.

Na zastępcę przewodniczącego powołano p. Eustachego Śmiałowskiego, na sekretarza dra Jana Szaflarskiego, na zastępcę tegoż p. Wincentego Sawińskiego, na skarbnika p. Eugenjusza Reinera, na zastępcę tegoż dra Zygmunta Kostkiewicza. Do wydziału pomocniczego weszli: ks. Chromecki Tadeusz, Babirecki Jan, dr Babka Albin, Eljasz Walery, Meyer Ignacy Edward, Kolbe Wacław. Na delegatów na walne zgromadzenie Towarzystwa wybrani zostali: dr Babka Albin, Śmiałowski Eustachy, Sawiński Wincenty, dr Kostkiewicz Zygmunt, Kolbe Wacław, Białkowski Mieczysław, Mikołajski Zygmunt, Gliniecki Bolesław, Groelle Adam, Chaszowski August i Plesner Ignacy.

Ostatnim punktem porządku dziennego były wnioski członków. Pierwszy p. Danielak postawił dwa wnioski do aprobaty: 1) Aby wzór Czech, gdzie w dniu św. Wacława naród składa podatek narodowy, podobnie u nas w dniu 3 maja ustanowić podatek narodowy na cele oświaty. 2) Aby dzień trzeci maja uczcić otworzeniem szkoły dla analfabetów w Krakowie i aby w tym dniu odbyła się pierwsza lekcja. Pan Przybyłowicz postawił wniosek: Aby zarząd uprosił Księcia-Biskupa, by ten polecił księżom z ambon wytłómaczyć ludowi znaczenie i korzyści szkoły dla analfabetów. W końcu p. Danielak gorąco przemawiał, aby Towarzystwo domagało się u Rady szkolnej krajowej, żeby młodzież otrzymywała naukę w duchu narodowym. — Na tem posiedzenie zamknięto.

Oddział kolarski Sokoła krakowskiego wybrał na dorocznem zebraniu ogólnem nowy zarząd na rok 1896, wskład którego weszli druhowie: Dr Antoni Filimowski jako prezes, Józef Zelek tegoż zastępca, Bolesław Gliniecki sekretarz, Mieczysław Białkowski kapitan jazdy, Antoni Kunze gospodarz. Członkami zarządu wybrano druhów: Zdzisława Ritterschilda, Zdzisława Gruszczyńskiego, Fryderyka Eberta, Józefa Schneidra i Michała Stypkowskiego. Oddział liczy obecnie przeszło 100 członków i utrzymuje szkołę jazdy na kole otwartą codziennie od godziny 7-mej do 10-tej rano dla członów prywatnych i pań.

Opieka nad dziećmi. Dyrekcja policji przypomniała podwładnym organom zeszłoroczny przepis, aby na plantach i miejscach spacerowych, chroniły dzieci od znęcania się piastunek. To zadanie organów policyjnych byłoby wielce ułatwionem, gdyby je wspierała sama publiczność.

Panorama. Dziś oglądać można w panoramie przy linji A-B: Egipt, Piramidy, Saharę, Algier, Suez i uroczystość otwarcia Kanału Suezkiego.

Z Dukli piszą do nas: W dniu 11 b. m. odbyło się w sali kasynowej przedstawienie Towarzystwa teatru amatorskiego na cel dobroczynny. Przedstawiono 1. Lekcja deklamacji, dyalog w I odsłonie, Gawalewicza; 2. „Uroki", komedja w I akcie Nagody; 3. „Gramatyka", czyli wybory do Rady powiatowej, komedja w I akcie, z francuskiego przerobiona. Wspomnąć nam wypada, że scena teatru amatorskiego w Dukli doznaje powodzenia już od lat 22. Przedstawiono przez przeciąg tych lat bardzo wiele utworów scenicznych i to ze świetnem powodzeniem a mianowicie: „Karpaccy górale", „Cygany" Korzeniowskiego, „Odludki i poeta" hr. Fredry (ojca), „Consiljum Facultatis" hr. Fredry (syna), „Pan Damazy" Blizińskiego, „Polowanie na męża", „Teatr amatorski", „Radcy pana radcy", „Emancypowane", „Ciepła wdówka" M. Bałuckiego, „Chłopi arystokraci", „Łobzowianie" (3 razy) „Flisacy" i „Błażek opętany" Anczyca, również wiele innych utworów scenicznych.

Teatr amatorski zawdzięcza dobre swe powodzenie i sympatję publiczności, gorliwej pracy, tak ze strony dyrekcji, jakoteż szanownego pana reżyszera.

Konkurs. Macierz szkolna dla księstwa cieszyńskiego ogłasza konkurs na dwie posady nauczycielskie w gimnazjum polskiem w Cieszynie, t. j. filologji klasycznej, tudzież geografji i historji na rok szkolny 1896/7. Kompetenci mają się wykazać zupełnym egzaminem, oraz wszystkiemi dokumentami, potrzebnemi do uzyskania posady, mianowicie: świadectwem dojrzałości, metryką, świadectwem kwalifikacyjnem, dekretami przeniesień, świadectwem dyrektora zakładu, w którym kompetent służy, uwolnieniem od pełnienia obowiązków nauczycielskich w Galicji od Rady szkolnej krajowej galicyjskiej, świadectwem przynależności i ewentualnie świadectwem moralności, jeżeli kompetent jeszcze nie pełnił obowiązków nauczycielskich.

Bardzo byłby pożądany rok próby formalnie odbyty w myśl rozporządzenia ministerjalnego z 27-go listopada 1876 r., l. 18740 pod kierownictwem starszego profesora i dyrektora z załączeniem odnośnego świadectwa dyrektora, albo przynajmniej jeden rok służby rządowej po egzaminie.

Płaca rzeczywistego nauczyciela podług normy rządowej, t. j. 1000 złr., dodatek 250 złr. i dodatek sustentacyjny 100 złr. z kwinkwenjami i z uwzględnieniem ewentualnego podwyższenia płac nauczycielskich w gimnazjach rządowych.

„Macierz szkolna" żywi niepłonną nadzieję, że znajdą się kompetenci, którzy powodowani obywatelskiem poczuciem służenia dobrej sprawie na kresach, przyjmą to wezwanie i pomogą jej tym sposobem spełnić ważne a wielce trudne zadanie. Zgłoszenia łaskawe adresować prosimy do „Zarządu Macierzy szkolnej dla księstwa cieszyńskiego".

Z powodu nieprzewidzianych nieraz trudności, które pokonać trzeba, prosimy o rychłe zgłoszenia.

Z Zarządu „Macierzy szkolnej"

Ks. Józef Londzin, sekretarz. *Ks. Monsignore Świeży*, prezes.

Składki. Werkmistrze i kanceliści warsztatów kolejowych w Nowym Sączu, nadesłali 1 złr. na rzecz Towarz. szkoły ludowej.

Pod właściwym adresem. Autor napisze, na przykład „sztukę dla teatru". Niepewny firmy swojej, pragnie naprzód dać jej rozgłos. Sprosi więc na kolacyjkę kilkanaście osób wpływowych. Wybierze dobrego deklamatora i każe mu odczytać sztukę. Trudno dla amfitrjona być niegrzecznym. Jedni bąkają zdawkowe pochwały — inni chwalą za pieczeń — reporterzy kadzą, bo to ich zarobek.

Autor wierzy, że napisał arcydzieło i sztukę oddaje dyrektorowi teatru. Reporterzy w gazetach chwalą nieznane dzieło — inni powtarzają to samo z grzeczności.

Dyrektor jest w kłopocie. Sztuka niezdarna. Do teatru nadchodzą listy b e z i m i e n n e, dlaczego znakomitej sztuki nie wystawiają. Dyrektor zrazu rzuca listy do kosza — ale, gdy ich setka się zbierze — postanawia sztukę wystawić.

Autor dopiął swego. Reklama poskutkowała. Autor wierzy w powodzenie i owacje. Wieńce przygotowane.

W dniu przedstawienia autor rozsyła kilkadziesiąt zaproszeń do znajomych, aby „po teatrze" na kolację przyszli.

Wszystko w porządku.

Teraz rozczarowanie. Dyrektor zaufał listom bezimiennym — a publiczności mniej się stawiło od listów. Zaproszeni „po teatrze" na kolacyjkę przyszli, ale nie wszyscy byli w teatrze.

Autor oburzony na „głupią i niewdzięczną publiczność" — przy kolacyjce wtorują mu reporterzy i obiecują w swoich gazetach pomścić jego krzywdę.

Co do publiczności, ta przechodzi nad tem wszystkiem do porządku.

Sztuka upada.

Tyle dla przestrogi autorów, którzy dzieła swoje czytają zaproszonym na kolacyjkę gościom i wierzą ich chwalbom przy pieczeni i winie.

Jeden ze spektatorów.

Z Koła nauczycieli szkół wyższych w Krakowie. Koło odbyło d. 11 kwietnia b. r. posiedzenie przy dość licznym udziale członków. Przewodniczący prof. Pawlica poświęcił na wstępie kilka słów gorącego wspomnienia zmarłym członkom Koła a mianowicie: śp. artyście malarzowi Stanisławowi Woyneko-Tomkiewiczowi oraz śp. dyrektorom H. Zatheyowi i Andrzejowi Niziołowi. Obecni uczcili pamięć byłych swych kolegów przez powstanie. Następnie referował imieniem komisji, wydelegowanej przez wydział Koła, prof. Winkowski w sprawie regulacji płac nauczycieli szkół średnich na podstawie świeżo ogłoszonego projektu rządowego. Referent oraz cały szereg mowców wykazali, że nauczyciele szkół średnich są w tym projekcie pokrzywdzeni w stosunku do urzędników państwowych w kilku punktach oraz, że to upośledzenie wywrze ujemne skutki do pewnego stopnia i na zaopatrzenie wdów i sierót po nauczycielach szkół średnich. W myśl wywodów referenta i innych mowców uchwaliło Koło szereg rezolucyj, które poleciło wydziałowi swemu wysłać bezzwłocznie na ręce wydziału Towarzystwa z wezwaniem, aby tenże w porozumieniu z innemi Towarzystwami nauczycielskiemi austrjackiemi podjął wspólną akcję celem zapobieżenia kwestjonowanym postanowieniom projektu, wymienionym w rezolucjach. Uproszono też obecnego na posiedzeniu posła prof. dra Aug. Sokołowskiego, aby był, gdzie i kiedy tego będzie potrzeba, rzecznikiem uzasadnionych żądań ciała nauczycielskiego szkół średnich. Z powodu spóźnionej pory odłożono sprawy pedagogiczno-dydaktyczne, umieszczone na tym samym porządku obrad, do następnego posiedzenia.

Bank gal. dla handlu i przemysłu, mający siedzibę w Krakowie, o którego sanacji w roku ubiegłym przy pomocy kapitałów krajowych szeroko mówiono, jako instytucja samodzielna, przestał istnieć, gdyż z d. 1 b. m. w głównej części przeszedł on na własność wiedeńskiego Union-Banku. Tym sposobem jakkolwiek nazwy swojej nie stracił, przestał być instytucją czysto krajową i stał się filją wiedeńskich potentatów pieniężnych, którzy niewątpliwie będą tu doskonałe robili interesy. Dyrektorem tak niestety zreformowanego Banku gal. dla handlu i przemysłu, który nie mógł się sam utrzymać przez nieudolność dawniejszych kierowników, został teraz dr Binder Wilheim, Polak, którego przed przyjazdem do Krakowa, jak najlepsza opinja poprzedziła.

Słuchaczki kursów Baranieckiego zawiadamiają, że wieczorek muzykalno-wokalny, z którego dochód przeznaczają na stypendjum, odbędzie się dnia 20 kwietnia, w poniedziałek, w sali hotelu Saskiego, i głęboko wierzą, iż tak piękny cel sprowadzi w znacznej ilości szanowną, a filantropijną publiczność krakowską.

Straż akcyzowa miejska przytrzymała przedwczoraj żyda Salomona Bornsteina, który szwarcował spirytus w pęcherzach przez rogatkę podgórską, Bornsteina oddano władzy policyjnej.

Czterech wychodźców do Ameryki, z powiatów: kolbuszowskiego, trembowelskiego, gorlickiego i żydaczowskiego, zatrzymała tutejsza władza policyjna za brak legitymacyj, funduszów, oraz za uchylenie się od powinności wojskowej.

Zawsze oni. Za fałszowanie stempla na losach tureckich skazany został przed sąd przysięgłych w Wiedniu kantorzysta z Krakowa, Moritz Hochwald, na trzy lata więzienia.

Rada lwowska na wniosek p. Michalskiego uchwaliła uroczyście obchodzić 200-letnią rocznicę śmierci króla Jana Sobieskiego, która przypada dnia 17 czerwca br. Rada wybrała w tym celu komisję z 16 osób.

Prez. Mochnacki zawiadomił na temże posiedzeniu Radę, że brał udział w deputacji wysłanej do hr. Marszałka w sprawie dzierżawy gmachu skarbkowskiego (gdzie mieści się jak wiadomo teatr) i z przebiegu rozmowy odniósł prezydent wrażenie, że hr. marszałek zajmuje się gorliwie tą sprawą, jest więc pewność, ze wkrótce załatwioną będzie. Dr Maryański w obszernym referacie krytykował zgubny pod względem ekonomicznym kontrakt, zawarty z dzierżawcami gmachu skarbkowskiego. W sprawie tej wywiązała się długa dyskusja, w której dr Weigel zaznaczył, iż Rada stoi wobec steku zagadek, zagadkowem bowiem było zawarcie kontraktu, zagadkowem potwierdzenie przez kuratorją i delegatów Rady, a najbardziej zagadkowemi były odpowiedzi dawane interpelantom w Radzie miejskiej i Sejmie. Obecnie sprawa jest już na dobrej drodze i jest nadzieja, że fundacja żadnej nie poniesie szkody. Również ostro krytykowali całą osnowę kontraktu pp. Rewakowicz i Michalski, a Rada uchwaliła czynić starania, by Wydział kraj. kontraktu nie potwierdził.

Piękny przykład. Czytamy w *Gazecie urzędowej*: Pocztowi urzędnicy — każe to przyznać słuszność — dają pod względem solidarności i tworzenia związków o celach szlachetnych piękne i godne naśladowania przykłady, z których niestety nie są skore korzystać inne dykasterje. Nowy dowód dbałości o własne i swoich kolegów dobro daje fakt zawiązania „pocztowej kasy chorych". Inicjatywę do zawiązania tego stowarzyszenia dał radca dworu p. Seferowicz, a celem tego związku będzie nieść pomoc w razie choroby przez własnych lekarzy i dostarczenia środków, aptecznych zapomóg na kształcenie w zakładach kąpielowych lub szpitalach i t. p. Niska opłata, zastosowana do dochodów urzędników i służby dozwala przystąpić każdemu urzędnikowi lub funkcjonarjuszowi do tego stowarzyszenia, które będzie miało swoje filje na prowincji, tak że organizacja ta obejmuje wszystkich urzędników i służbę pocztową całego kraju. Inicjator p. Seferowicz spodziewa się uzyskać subwencję rządową dla tego stowarzyszenia. Życząc mu jak najpomyślniejszego rozwoju wierzymy w to, że znajdzie ono życzliwe moralne i materjalne poparcie w kole panów urzędników pocztowych.

Ze Stanisławowa piszą: Na dzień 14 kwietnia wieczorem zwołano Radę miejską do wyboru burmistrza. Żydzi dążący do wyboru żyda, jawili się w komplecie, z 19 bowiem brakło tylko dwóch radnych, z których jeden jest chory, a drugi wyjechał do Pesztu. Inteligencja stanisławowska postanowiła zdekomple-

tować posiedzenie; jakoż w istocie nie jawiło się 12 radnych, a tylko pięciu zdobyło się na odwagę dopomagać żydom, a mianowicie: Gorecki, prof. szkoły realnej, Piskorz, kupiec z I koła, nadto Fiedler, stolarz, aspirant na wiceburmistrza, Kwaśniewski, szewc i Zajączek, handlarz wieprzami. Dla braku kompletu wybór nie przyszedł jednak do skutku, mimo pomocy żydów chrzczonych. Rzecz bardzo smutna, bolesna, ale niestety prawdziwa, że chrześcijanie sami dobrowolnie idą w służbę żydowską. Prorok żydowski dr E. Fischler rozwijał chorągiew pod hasłem: Burmistrzem musi być żyd! Większość mają żydzi w Radzie, oby się tylko nasi dobrze myślący nie zachwiali, a kto wie, jak to będzie.

Słaby dotychczas w stanisławowskim powiecie ruch emigracyjny, poczyna się wzmagać. Około starostwa co dzień spotkać można gromady włościan, błagających o paszporty.

W drodze do Brazylji, do stanu Parana, przejeżdżało przez Stanisławów dziesięć rodzin włościańskich, około trzydzieści osób ze wsi Sławętyna, w powiecie podhajeckim. Wychodźcy, pomiędzy którymi można było widzieć starców i niemowlęta przy piersi, udają się przez Woronienkę, Peszt i Fiume do Genui, gdzie ich znany ajent Silvio w dalszą wyprawia drogę.

Twarze ich smutne, choć kieliszkiem pragną nadrobić fantazję!

Nasi biali murzyni, tak zdaje się bez przesady można nazwać urzędników podatkowych, z wiosną otrzymali niespodziankę — niezbyt co prawda pożądaną — a to pomnożenie godzin służbowych od 2 do 8 wieczorem.

Z Trzemeśni przy Myślenicach donoszą nam, że tamtejsza ochotnicza straż pożarna otrzymała 100 złr. od dra Lisowskiego, prezydenta Izby adwokackiej w Krakowie, a właściciela dóbr: Trzemeśnia, za co mu składa serdeczne staropolskie „Bóg zapłać“.

Ajenci emigracyjni. Z Tok pisze ks. A. Cisło: W ostatnich czasach wielu tutejszych gospodarzy wiejskich, którzy jaki taki wpływ i stosunki mają, dostało od zagranicznych ajentów emigracyjnych bardzo sprytnie do chłopa przemawiające wezwanie do przyjęcia podajentury emigracyjnej. Sam list napisany jest poprawną polszczyzną, ale dodane do niego opisy szczęścia za oceanem, zachwalające dobrobyt, jaki każdego emigranta w tym raju obiecanym czeka, pisane są z czeska po polsku. Ajenci ci zagraniczni obiecują swoim podajentom za dostawę emigrantów po 5 złr. od głowy za dorosłych, za młodzież po 2 złr. 50 ct. i żądają po 10 złr. zadatku na kartę okrętową. Dla chłopa, jeżeli tylko nieuczciwy, jest to wielka pokusa daremnie 5 złr. zarobić. Niektórzy przychodzili się radzić, co z tem zrobić, pouczyłem ich i przypomniałem obowiązki dla Wiary i Ojczyzny, skutkiem czego oni ze wzgardą odrzucili pokusy ajentów emigracyjnych. Ale czy wszyscy zbałamuceni będą szukać dobrej rady?

Z Brzozowa piszą do nas d. 16 kwietnia: Wczoraj we wsi Blizne tutejszego powiatu sądowego, gospodarz Marcin Chęć, w przystępie nagłego obłąkania, w nocy zamordował siekierą troje swoich małych od jednego roku do sześciu lat dzieci, matkę swej żony, tudzież poranił śmiertelnie swoją żonę. Synek 6-letni uciekając z domu, został zabity na podwórzu, zaś matka już obok sąsiedniego domu, dokąd chciała się schronić. Ubezwładniony, odstawiony został do sądu w Brzozowie, gdzie poddany będzie oględzinom sądowo-lekarskim.

„Macierz szkolna“. W miesiącu marcu wpłynęło do kasy Tawarzystwa 2.416 złr. 3 ct. Wydatki zaś wynosiły 803 złr. 74 ct. Cały fundusz na utrzymanie gimnazjum polskiego w Cieszynie wynosi obecznie (papiery wliczone według wartości nominalnej) 103.172 złr 29 ct.

Fundusz stypendyjny dla biednych uczniów gimnazjum polskiego wynosi 8.776 złr. 65 ct. W Cieszynie d. 10 kwietnia 1896. *Ks. Józef Londzin*, sekretarz. *ks. Monsignore Świeży*, przewodniczący.

Z Piotrkowa piszą: Po ukończeniu śledztwa co do kradzieży u Warszawskiego i Luksenburga, popełnionej przez bandę Bogusławskiego i spółkę, sąd przystąpił do rozpatrywania sprawy zamachu na życie Karoliny Popławskiej. Popławska opowiedziała co następuje: W nocy, 26 lutego r. z., o g. 10 wieczorem do domu Nowaczek, u której mieszkała Popławska, przyszedł Bogusławski, obudził ją i zaprosił do szynku Kozłowskiego na zabawę z powodu zapust. Popławska lekko odziana poszła tylko z samym Bogusławskim; w szynku Kozłowskiego było ciemno i na natarczywe pukanie Bogusławskiego i Popławskiej otworzyć nie chciano, gdy oboje bezskutecznie kołatali do szynku, nadszedł nieznany wówczas Popławskiej człowiek, wysoki i zapytany przez Bogusławskiego, gdzie idzie odpowiedział, że do Dąbrowy. Bogusławski zaproponował mu, aby razem napili się wódki, przedstawiając go Popławskiej, jako swego dobrego znajomego. Ponieważ szynku nie otwierali, nieznajomy zaproponował, żeby poszli do Dąbrowy, gdzie napewno znajdą jaki szynk jeszcze otwarty. Popławska lekko ubrana zgodzić się na to nie chciała, ale Bogusławski wziął ją wpół i poszedł naprzód, a nieznajomy postępował za nim o jakie 10 kroków i doszli do Huty Cynkowej, gdzie rozchodzą się drogi, z których jedna prowadzi około biura Tow. Francuzko-włoskiego, druga zaś przez pole. Nieznajomy zaproponował, aby poszli polem jako drogą bliższą. nieznajomy wciąż zostawał za nimi o 10 do 12 kroków. Bogusławski szedł z prawej strony Popławskiej, obok wody przeszedł na lewo, wziął Popławską pod rękę i gdy przechodzili około płotu nad wodą, chwycił ją wpół i chciał rzucić do wody, a nieznajomy strzelił jej z rewolweru nad uchem. Popławska złapała Bogusławskiego za głowę i zaczęła wołać: „Stachu, bói się Boga, nie zabijaj mnie, daruj mi życie“, zerwała mu przy tem czapkę. Nieznajomy uderzył wówczas Popławską rewolwerem w głowę i obaj z Bogusławskim wrzucili ją do wody. Popławska usiłowała wydobyć się na brzeg, wówczas nieznajomy raz jeszcze uderzył ją w głowę, a później strzelił do niej, że zaś Popławska miała ręce wzniesione po na głowę, kula przebiła jej dłoń.

W obawie, aby dalej do niej nie strzelano, Popławska udała nieżywą i pogrążyła się w wodę, woda w stawie, jako idąca z kopalń, była gorąca i parowała, wskutek czego Bogusławski z nieznajomym nie mogli dostrzedz co się dzieje z Popławską, ona zaś doskonale obserwowała ich ruchy, obwinęła zranioną rękę fartuchem i leżała cicho, wtedy nieznajomy namawiał Bogusławskiego, aby już odeszli, gdyż Popławska zabita i nikt się nie dowie, gdzie się podziała, poczekawszy chwilę, obaj poszli w stronę Dąbrowy. Popławska wiedząc, że mają oni w rewolwerze 6 kul, a wystrzelili tylko 2, w obawie, aby powróciwszy nie strzelali do niej w wodę, odeszła pod wodą brzegiem pod krzaczek; jakoż niedługo powrócił Bogusławski z żerdzią i począł szukać ciała, aby je pchnąć na głębinę — nie odnalazłszy, odeszli z nieznajomym o 40 kroków i przechadzali się tam i napowrót, naraz Popławska usłyszała przejeżdżające sanie, wyskoczyła z wody i poprosiła przejeżdżającego wieśniaka, który wiózł worki ze zbożem ze stacji Iwangrodzkiej do młyna na Piekiełko, skoro jednakże wsiadła na wóz, Bogusławski i nieznajomy zaczęli ją gonić i strzelać do niej; około domka drożnika Popławska zeskoczyła z sanek i weszła do ogródka. Bogusławski i nieznajomy stanęli przed ogródkiem, wówczas Popławska zaczęła pukać do okna, a gdy jej nie otworzono wybiła szybę i wsadziła przez nią głowę do izby, wzywając pomocy. Bogusławski strzelił do niej raz i kula zadrasnąwszy jej ciało, wpadła jej za gorset — powtórzył strzał i wtenczas ranił ją w ramię. Niedaleko od domku dróżnika, w podwórzu zakładów Towarzystwa Fran. Włoskiego, był na straży stróż nocny, który usłyszawszy strzały, również wystrzelił na postrach, po strzale tym Bogusławski i nieznajomy uciekli. Dróżnik i jego żona nie chcieli przyjąć Popławskiej w obawie, aby nie narobić sobie kłopotu. Wówczas ta ostatnia poszła na plac oddalony o 200 kroków, tam wycieńczona upływem krwi i zmarznięta, upadła prawie bez zmysłów, stróż fabryczny odprowadził ją do mieszkania jednego z robotników, gdzie przeleżała do rana, a później odwieziono ją do szpitala; dopiero po aresztowaniu Bogusławskiego dowiedziała się, że ów nieznajowy, który usiłował ją zabić wraz z Bogusławskim, był właśnie Fijokiem, inaczej znany Fijołkiem. Na zapytanie, czy nie wie za co Bogusławski usiłował ją zabić, Popławska odpowiedziała: — ja sama nie wiem; nie dawał mi żadnych poleceń, ale gdy uciekł z aresztu i pytałam go, dlaczego nastawał na moje życie, odpowiedział trochę pod wpływem trunku, trochę za to, że wydałam policji kryjówkę złodziei. Bogusławski stanowczo twierdzi, że usiłował zabić Popławską za to jedynie, że ukradła mu pieniądze wzięte za skradziony towar, który dał jej do sprzedania. Zeznanie Popławskiej potwierdzili inni świadkowie.

Następnie sąd przystąpił do innej zbrodni, popełnionej przez tę samą bandę. Ofiarą padł Szkoc, osadnik. Z zeznań świadków okazało się, że sprawcami śmierci Szkoca byli: Fijok, Błażej lis (Marny) i Krenzel. Co do rozbojów u Winera i Chrzanowskiego, oraz powtórnego rozboju u Warszawskiego i Fiszla, zeznania świadków potwierdziły akt oskarżenia.

Teatr, Literatura i Sztuka.

Ernest Hartmann.

Rosły, tęgi, barczysty, otyły, bliski czterdziestki, o twarzy mięsistej, nalanej, z nosem zarysowanym delikatnie, choć nieco zbyt długim i zwieszonym, grywa Ernest Hartmann lekkich kochanków, a grywa ich ze zdumiewającą brawurą i artyzmem, dochodzącym do doskonałości. Nie przeszkadzają mu nic prawie ruchy z natury ociężałe; umie im nadać żywość i giętkość, a jeżeli nas razi z początku pochylenie naprzód całego korpusu i trochę sztywne wyrzucanie naprzód nóg, oswajamy się prędko tak z tem, jak z całem wzięciem się artysty, rubasznem dla nas, ale naturalnem i pełnem prostoty dla niemieckich widzów. Niemcem jest Hartmann w każdym uśmiechu i okrzyku, w każdem słowie, w każdym gieście, w każdem podaniu ręki, w każdym ukłonie; indywidualność jego jest tak wybitnie narodowa, że nawet sztukom francuskim przez niego granym nadaje czysto niemieckie piętno. Nawet Meilhac zamienia się w Schönthana pod wpływem potężnej natury znakomitego artysty, narzucającej się z pewną brutalną siłą i panującej zarówno nad poszczególną postacią jak i nad całą sztuką; i dlatego trwamy w przekonaniu, że wybór sztuk francuskich był nietrafny, jeśli szło o to, aby polskiej publiczności dać sposobność należytego poznania i zasłużonego podziwiania wyśmienitej gry jednego z najlepszych współczesnych niemieckich aktorów.

Aktorowie polscy mogą i powinni nauczyć się dużo od Hartmanna, przynajmniej w szczegółach. Wogóle jest to gra zupełnie odmienna od tej, która odpowiada naszym utartym wyobrażeniom i upodobaniom teatralnym. Znajduje się wprawdzie w naszym teatrze artysta, który sobie od dawna Hartmanna za wzór wybrał i który usiłuje go niewolniczo naśladować; naturalnie nie znajduje powodzenia. My nie lubimy w teatrze tego przymuszonego przystosowywania się do roli, giestów i póz obmyślanych i efektownych, tego nieustającego zgrywania się od początku do końca; my wolimy, żeby aktor był zawsze sobą i rolę do siebie dostrajał, a nie siebie do roli. Chcemy raczej naturalizmu w grze, a nie sztucznej sztuki. Nawet u Hartmanna nie możemy się obronić wrażeniu, że po za postacią teatralną tkwi człowiek, który skoro zejdzie ze sceny inaczej się rusza, inaczej śmieje, inaczej mówi i że ten człowiek ciągle udaje przed nami postać obcą, udaje świetnie i zdumiewająco, ale przecież udaje! Nasz aktor zachowuje się na scenie tylko tak, jakby on sam zachowywał się w takiej a takiej sytuacji, przez dramatopisarza stworzonej, czuje to, co samby czuł, mówi tak, jak samby mówił; jest przez to monotonniejszy, jest jednak o wiele prawdziwszy. Nawet Hartmannowi ma się czasem ochotę powiedzieć: „Jakże się musi męczyć ta obca skóra jaką na siebie włożyłeś; odpocznij przez chwilę, pozwól się porwać roli, zapomnij, że jesteś aktorem i masz wzbudzać efekt i oklaski a pokaż nam własną, rzetelnie własną duszę!“

Co prawda, trudno o pokazywanie duszy w lekkich farsach francuskich. Najwyżej w uczuciowych scenach można wydobyć z siebie szczere uczuciowe akcenty — ale to jeszcze nie to samo. Akcenty te można udać tak świetnie, że są jeszcze artystyczniejsze od prawdziwych. Tak też je udaje Ernest Hartmann. Tam, gdzie potrzeba ciepła i szczerości, jest tak ciepły i szczery, że daremnie prawdziwe ciepło i prawdziwa szczerość usiłowałyby z tem rywalizować. Technika jego jest w istocie nieporównana; dykcja jego zwłaszcza, wśród której śmiech, gniew, uczucia przepływają harmonijnemi falami, jest prawdziwem arcydziełem aktorskiem. Ją zwłaszcza powinni naśladować ci nasi artyści, którzy potrzebują parskać lub spazmować, aby się śmiać, bełkotać lub wrzeszczeć, aby się gniewać, wzdychać lub jęczeć, aby kochać; od Hartmanna także nauczą się, że piękny głos powinien być dla aktora użyteczną pomocą, a nie krępującą przeszkodą. Hartmann, mimo, iż w tragedjach zapewne lubi deklamować *con amore*, w komedji nie wtłacza swego głosu przemocą publiczności, nie kocha się w nim z uszczerbkiem dla roli i sztuki.

K. E.

HUMOR.

— Wyraz „koleżeński“ oznacza drobne grzeczności wyrządzone kolegom. Coby naprzykład Żarłocki uczynił, gdyby kolega miał jedzenie na stole i miałby jeszcze guziki do czyszczenia?

— Zjadłbym prędko za niego, żeby mógł spokojnie guziki czyścić.

— Wyobraź sobie, że Stasio oświadczył się o tę bogatą, ale starą Julję!

— No, chciał zacząć od razu od złotego wesela.

W kawiarni.

Kelner: — Może panu dobrodziejowi podać świeże dzienniczki do przeczytania?

Gość: — Dżękuję cziebie, mój kawylyrze. Jo sobie dżyszaj mój złoty cwyker zostawiałem w domu...

Pracowitość jest talentem ludzi nieutalentowanych.

Mędrzec, któremu zaczynają schlebiać, staje się kandydatem na głupca.

Szczęście bez pieniędzy jest to samo, co pieniądze bez szczęścia.

Który sąsiad jest przyjemniejszy przy dobrej [illegible]: mądry czy głupi? Prawda, że z mądrym można rozmawiać o czemkolwiek, ale za to z głupim można wcale nie rozmawiać.

Szarada.

W *pierwszym, drugim*, wsze rzeczy możecie gotować,
Aby nie *pierwsze, trzecie*, bo choć ich jest wiele,
To jednakże z nich *wszystkie*, nie mogą smakować,
Za to wam zaręczam śmiele.

Rozwiązanie zadania konikowego wraz z zagadką.

Miły czytelniku! proszę chciej się zająć
Łatwą tą zagadką, próbując ją też zgadnąć:
Zechciej więc pomyśleć, co to jest za zwierzę,
Które w równej, co pies, biedz potrafi mierze,
Chociaż nóg nie ma. A mimo, iż głowy nie posiada
Siano i kapustę chętnie bardzo zjada.
Oczów nie ma, sierści też nie widzisz;
Teraz jednak do reszty, mój panie, się zdziwisz,
Gdy dodam jeszcze, że to żadna mrzonka,
Iż zwierze to nie posiada wcale ogonka —
I chociaż żadnego nawet nie posiada ucha,
Myśliwego, lub psa z daleka podsłucha...
Lubią go myśliwi, lubią go też panie,
Zwłaszcza na półmisku, jako smaczne danie.

Dobre rozwiązanie przysłali: p. Władysław Kubas z Krakowa; Prenumerator z Mokrzyszowa z dopiskiem:

Po sianie i kapuście za myśliwskim płotem,
Poznasz wnet, że to zwierzę nazywa się kotem —

i pani Helena B. ze Lwowa, dodając te słowa:

Nadziei przyświeca mi promyk,
Że to zwierze, co ma tylko „omyk“,
Przytem szybkie, zgrabne ruchy,
Długie i ruchome „słuchy“,
Biegnie prosto, lub na boki,
Bo ma silne, dobre „skoki“,
Ma „turzycę“ na swym grzbiecie,
Jest to zając — sami wiecie.

Prócz powyższych rozwiązali: pp. Fr. Ksaw. Wojnarski, A. Wychowski, J. Krasicki, Zygmunt Miączyński z Krakowa i Olimpja Pruszyńska z Przecławia.

OSTATNIA POCZTA.

Z okolic Górnego Nilu nadchodzą wiadomości o pierwszych starciach pomiędzy wojskiem egipskiem a Derwiszami. Trzystu Derwiszów konnych i tysiąc pieszych uderzyło w dniu 16 kwietnia na oddział egipski w Tohar, na którego czele stał major Sidney. Derwisze ponieśli całkowitą klęskę; straty ich były bardzo znaczne. Pomimo to konny oddział Derwiszów rzucił się jeszcze raz na jazdę egipską. Dowodził nią major Fenwick. Jeźdźcy egipscy zsiedli z koni, uderzyli na Derwiszów i zadali im porażkę. Derwisze utracili trzydziestu ludzi, Egipcjanie ośmnastu.

Korpus wojskowych aeronautów w Aldershot otrzymał rozkaz przygotowania oddziału, któryby się przyłączył do ekspedycji do Dongoli. Nadto z armją Nilu ma się połączyć kompanja pjonierów, przeznaczona do Suakimu.

Telegramy

własne „Głosu Narodu“.

Odesa 18 kwietnia. W dniu wczorajszym, o godz. 8½ zrana, zaczął się zbliżać do Wybrzeża Bakalejnego w porcie kwarantannowym jacht „Sułtanie“, z którego dochodziły dźwięki rosyjskiego hymnu narodowego. Orkiestra muzyki wojskowej odpowiedziała hymnem narodowym bułgarskim. O godz. 8¾ jacht przystanął przy Wybrzeżu Bakalejnem, wspaniale przybranem we flagi i zieloność. Chór Bułgarów seminarzystów i wychowańców słowiańskiej pepiniery wykonał hymn narodowy. Książę Ferdynand został powitany stosownie do ceremonjału. Prezes parafji bułgarskiej Palawzow powitał księcia mową w języku bułgarskim; prezes Towarzystwa słowiańskiego Znamienskij powitał księcia mową rosyjską. Książę odpowiedział wyrażeniem serdecznej wdzięczności, zwróconem do przedstawicieli Towarzystw za przygotowane dla niego wzruszające, uroczyste przyjęcie na progu rosyjskiej świętej ziemi. Książę był wesoły, rozmowny, z zapałem mówił o przyjęciu w Konstantynopolu. O godz. 10½ zrana książę wyjechał z Odesy przygotowanym dla niego nadzwyczajnym pociągiem.

Paryż 18 kwietnia. Nagły odjazd prezydenta Faure'a z ministrem wojny do Verdun jest przedmiotem najróżnorodniejszych komentarzy, Faure zwidzi kilka portów, i uczestniczyć będzie w ćwiczeniach wojskowych. Wobec podróży prezydenta Faure'a do Verdun pesymiści upatrują zbliżanie się ciężkich wypadków.

Wiedeń 18 kwietnia (w południe). **Lueger został dziś wybrany burmistrzem dziewięćdziesięcioma sześcioma głosami przeciwko czterdziestu dwom.** Ogłoszenie wyniku wyborów wywołało nieopisaną radość. Niezliczony tłum ludności, który skupił się dokoła ratusza, wzniósł pełne zapału okrzyki. **Lueger oświadczył, że wybór przyjmuje i wypowiedział mowę, zawierającą ostry ustęp przeciwko Węgrom.** Około ratusza stały gęste posterunki policyjne. Zresztą wszystko odbyło się spokojnie i w najzupełniejszym porządku.

Wiedeń 18 kwietnia (w południe). Z klubu młodoczeskiego zapisali się do głosu jako mówcy przy dyskusji nad projektem reformy wyborczej deputowani: Brzorad, Kramarz, Slawik, Żaczek i Vaszaty. Klub Hohenwarta w sprawie reformy wyborczej zamierza członkom swoim pozostawić najzupełniejszą swobodę głosowania. Partja katolicko-ludowa podejmie na nowo wniosek Dipaulego i będzie go ze stanowczością broniła. Przejście do dyskusji szczegółowej uchwalone prawdopodobnie będzie większością przeszło dwóch trzecich głosów.

Wiedeń 18 kwietnia (w południe). Na dzisiejszem przedpołudniowem posiedzeniu Koło polskie wybrało ponownie dotychczasową parlamentarną komisję. Następnie prowadzono w dalszym ciągu poufne obrady nad reformą wyborczą.

Wilno 18 kwietnia (w południe). Przejeżdżał tędy ks. Ferdynand bułgarski. Dziś w południe stanie książę w Petersburgu.

Berlin 18 kwietnia (w południe). Centrum wniosło interpelację do rządu w sprawie pojedynków. Dyskusja nad interpelacją odbędzie się w poniedziałek.

Nicea 18 kwietnia (w południe). Królowa angielska przyjmowała śniadaniem lorda Salisburego, Po śniadaniu królowa odbyła z lordem długą konferencję.

Londyn 18 kwietnia (w południe). Rozeszły się pogłoski, że w Buluwayo znajduje się już w rękach powstańców. Nie ulega wątpliwości, że według ostatnich urzędowych wiadomości oddział złożony z 15.000 Matabelów szedł w stronę Buluwayo. Odsiecz z Mafeking już odeszła.

W Izbie gmin oświadczył Chamberlain, że dla zastąpienia wojsk odkomenderowanych do wnętrza kraju odejdzie niebawem do Afryki południowej bataljon linjowy i korpus konnicy. Zarządzenie to stoi w związku z postanowieniem stałego wzmocnienia garnizonu kolonji przylądku, ponieważ dotychczasowa siła zbrojna nie wystarcza do obronienia fabryk rządowych i węglowych stacyj. Zdaniem rządu do stłumienia powstania najwłaściwsze są wojska lokalne. W razie potrzeby, rząd jest gotów dać upoważnienie do rekrutowania kolonjalnych wojsk na koszt Chartered Company.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu“.

Wiedeń 19 kwietnia (rano). Na zapytanie starosty Friebeisa, czy Lueger wybór przyjmuje, odpowiedział tenże mową, w której podnosi, iż dziś po raz czwarty został wybrany burmistrzem. Podczas dwóch wyborów okazało się, że chrześcijańska ludność Wiednia, niezbałamucona przez rzucane na nią obelgi, pogróżki i czynione obietnice, zwycięża, broniąc swych praw ustawową bronią, jaką jest kartka głosowania. Mowca przemawia z polecenia swych przyjaciół politycznych i wyraża również z ich polecenia podziękowanie chrześcijańskiemu ludowi. Wolę ludu powinien rząd tem bardziej uszanować, skoro sam wezwał niejako lud na sędziego, którego wyrok jest wynikiem spokojnej rozwagi i jasnego zrozumienia położenia chrześcijańskiego ludu. Przyjaciele mowcy oddali mu głosy, nie dla otaczania kultem jego osoby. (Oklaski po lewicy), lecz aby uczynić zadość woli ludu.

Mowca przyjmuje wybór nie dla ambicji, lecz dla spełnienia ciężkiego obowiązku. Był już gotów poświęcić swoją osobę, ale tej ofiary przyjaciele jego nie przyjęli, uznając, że obstawanie przy jego osobie właśnie w obecnych stosunkach, jest bardziej, niż kiedykolwiek wskazane. Wiedeńska kwestja burmistrzowska nie jest kwestją czysto lokalną, lecz ma ona także daleko sięgające ekonomiczne i polityczne znaczenie. Panująca obecnie na Węgrzech partja, usiłuje rozszerzyć zakres swej siły, roszcząc sobie nienależny wpływ na stosunki austrjackie. Przeciw temu należy wystąpić spokojnie ale stanowczo. Ustępstwo na jakimkolwiek punkcie przyniosłoby nieobliczoną szkodę. Codzienne obelgi wpływowych węgierskich dzienników, miotane przeciw Wiedniowi, dają miarę doniosłości wiedeńskiej kwestji burmistrzowskiej.

Kwestja ta nie jest pojedynkiem między Badenim a Luegerem. Takie stanowisko byłoby małostkowem. Jest ona raczej częścią wielkiej walki o wyzwolenie ludności chrześcijańskiej, o niezawisłość i wolność ojczyzny, Austrji. W tej walce nie ustąpić ani na krok jest obowiązkiem niemieckiego chrześcijańskiego męża, dobrego Wiedeńczyka, patrjoty austrjackiego. Na tem stanowisku się opierając, wybrali go jego przyjaciele burmistrzem i na tem też stanowisku stojąc, wybór on przyjmuje. Do swych obu przeszłorocznych mów nie ma mowca nic do dodania, ani też do ujęcia. Jego przyjaciele i on sam, skoro tylko objęliby zarząd miasta, postępować będą drogą prawa i sprawiedliwości, ufając w poparcie wszystkich, którzy o dobro ludu poważnie dbają. Mowca kończy życzeniem, aby wreszcie ludowi oddanem zostało to, co należy do ludu.

Polityczni zwolennicy Luegera przyjęli jego mowę żywemi oklaskami i składali mu życzenia.

Po mowie Luegera, oświadczył komisarz rządowy Friebeis, iż akt wyborczy przedłoży Namiestnikowi.

Wiedeń 19 kwietnia (rano). Komisja prawnicza obradowała nad uchwałą Izby panów, w sprawie utworzenia ordynacji Czartoryskich. Uchwalono wniosek dep. Vaszatjego, odrzucający całą sprawę.

Komisja dla kodeksu karnego uchwaliła przyjąć za podstawę dyskusji szczegółowej nagły wniosek Bareuthera w sprawie ochrony wolności wyborczej

Wiedeń 19 kwietnia (rano). Pogłoski o dymisji ministra wojny Krieghammera utrzymują się ciągle mimo półurzędowych zaprzeczeń.

Brucks 19 kwietnia (rano). Nastąpiło tu ponowne obsunięcie się ziemi na Johndorferstrasse.

Odessa 19 kwietnia (rano). W Yałcie wywiązały się zaburzenia robotnicze. Przyszło do krwawego starcia robotników z żołnierzami.

Paryż 19 kwietnia (rano). Prezydent ministrów. Bourgeois, upewnił się, że Freycinet będzie popierał rząd w senacie przy dyskusji nad kredytami madagaskarskiemi.

Paryż 19 kwietnia (rano). Prezydent Faure zamierza niebawem zaalarmować garnizon w Nancy.

Odpowiedzi Redakcji.

Wpan A. Amirowicz w Stanisławowie. Niedzielny numer *Głosu Narodu* powinien każdej niedzieli znajdować się w Stanisławowie, a jeżeli szan. Pan otrzymuje go prawie zawsze dopiero w poniedziałek, to chyba dla tego, że na tamtejszej poczcie prawdopodobnie znajduje się jakiś amator bezpłatnego czytania naszego pisma. Niestety, dzieje się to nie tylko w Stanisławowie, a ci, którzy to czynią, ani sobie zdają z tego sprawę, jaką nam krzywdę wyrządzają, prenumeratorowie bowiem myślą, że to nasza administracja tak opieszale numera wysyła.

F. C. w Gorlicach. Gdyby się brało rzecz ściśle, należałoby pisać „po południu“, t. j. każde słowo osobne: najlepsi jednak pisarze piszą „popołudniu“ razem, co jednak nie jest błędem.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).

Podziękowanie.

Przewielebnemu Duchowieństwu za pociechę moralną, zacnemu prof. drowi Pareńskiemu, drowi Schneidrowi za gorliwą pomoc lekarską, szanownownemu Gronu Nauczycielskiemu szkoły realnej, kolegom, wszystkim uczniom tejże szkoły, krewnym i przyjacielom, za okazane współczucie i oddaną ostatnią usługę zmarłemu Józiowi składa serdeczne Bóg zapłać.

Rodzina Grabowskich.

DYREKCYA
Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie

podaje do powszechnej wiadomości w myśl §. 11 statutu gradowego.

WYKAZ NAJWYŻSZYCH CEN
po jakich ziemiopłody w roku 1896 od gradu ubezpieczone być mogą.

Rodzaj ziemiopłodów — w powiatach sądowych Galicji i Bukowiny:

A. Andrychów, Baligród, Biała, Biecz, Bochnia, Brzesko, Brzostek, Brzozów, Bukowsko, Chrzanów, Ciężkowice, Czar. Dunajec, Dąbrowa, Dębica, Dobczyce, Dukla, Dynow, Frysztak. Głogów, Gorlice, Grybów, Jasło, Jaworzno, Jordanów, Kalwarja, Kęty, Kolbuszowa, Kraków, Krościenko Krosno, Krzeszowice, Leżajsk, Limanowa, Lisko, Liszki, Lutowiska, Łańcut, Maków. Mielec, Milówka, Mszana dolna, Muszyna, Myślenice. Niepołomice, Nisko, Nowy Sącz, Nowy Targ, Oświęcim, Pilzno, Podgórze, Przeworsk, Radłów, Radomyśl, Ropczyce, Rozwadów, Rymanów, Rzeszów, Sanok, Skawina, Slemień, Sokołów, Stary Sącz, Strzyżów, Tarnobrzeg, Tarnów, Tuchów, Tyczyn, Ulanów. Ustrzyki, Wadowice, Wieliczka. Wiśnicz, Wojnicz, Żabno, Zator, Żmigród, Żywiec.

B. Bełz, Bircza, Borszczów Bobrka, Bohorodczany, Bolechów, Borynia, Bursztyn, Busk, Chodorów, Cieszanów, Delatyn, Dobromil, Dolina, Drohobycz, Dubiecko, Gliniany, Gródek, Gwoździec, Halicz, Horodeńka, Janów, Jarosław, Jaworów, Kałusz, Kamionka, Komarno, Kołomyja, Kossów, Krakowiec, Kulikow, Kuty Lubaczów, Lwów, Łąka, Medenice, Mielnica, Mikołajów. Mościska, Mosty w., Nadwórna, Niemirów, Niżankowice, Obertyn Ottynia, Podburz, Peczeniżyn, Pruchnik, Przemyśl, Przemyślany, Rawa, Radymno, Radziechów, Różniatów Rohatyn, Rudki, Sambor, Sieniawa, Sąd. Wisznia, Skole, Śniatyn. Sokal, Sołotwina, Stanisławów, Staremiasto, Starasol, Stryj, Szczerzec, Tłumacz, Tłuste, Turka, Tyśmienica. Uhnów, Winniki. Wojniłów, Zabłotów, Zaleszczyki, Żabie, Żółkiew, Żurawno, Żydaczów.

C. Brody, Brzeżany, Buczacz, Budzanów, Czortków, Grzymałow, Husiatyn, Kopyczyńce, Kozowa, Łopatyn, Mikulińce, Monasterzyska, Nowesioło, Olesko, Podhajce, Podwołoczyska, Potok złoty, Skałat, Tarnopol, Trembowla, Wiśniowczyk, Załośce, Zbaraż, Zborów, Złoczów.

D. **Bukowina.** Czerniowce, Dorna Watra, Gurahumora, Kimpolung, Kocmań, Putilla, Radowice, Sadagóra, Seletyn, Seret, Solka, Stanowce, Storożyniec, Suczawa, Waszkowce nad Czeremoszem, Wyżnica, Zastawna.

poz.	Rodzaj ziemiopłodów	A. poz.	A. Złr. za 100 kilo	B. poz.	B. Złr. za 100 kilo	C. poz.	C. Złr. za 100 kilo	D. poz.	D. Złr. za 100 kilo
1	Żyto ozime	1	6·50	1	6·25	1	6·—	1	5·50
2	„ jare	2	6·—	2	5·50	2	5·50	2	5·—
3	Pszenica ozima	3	7·50	3	7·25	3	7·—	3	6·75
4	„ jara	4	6·50	4	6·25	4	6·25	4	6·—
5	Jęczmień	5	6·—	5	5·50	5	5·—	5	5·—
6	Orkisz	6	6·—	6	5·50	6	5·—	6	5·—
7	Owies	7	6.—	7	5·50	7	5·50	7	5·—
8	Hreczka (Tatarka)	8	7·50	8	7·—	8	7·—	8	7·—
9	Kukurudza	9	6·—	9	6·—	9	6·—	9	5·50
10	Proso	10	6·—	10	5·50	10	5·—	10	5·—
11	Groch pospolity	11	7·—	11	5·50	11	5·50	11	5·50
12	Groch (Wiktorja)	12	9·50	12	8·—	12	8·—	12	8·—
13	Groch zielony drobny	13	7·—	13	6·50	13	6·50	13	6·—
14	Bób	14	5·50	14	5·25	14	5·—	14	5.—
15	Bobik	15	5·—	15	5·—	15	4·50	15	4·50
16	Fasola	16	10·—	16	10·—	16	7·50	16	7·50
17	Soczewica zwykła	17	10·—	17	8·50	17	8·—	17	7·—
18	Soczewica szelągowa	18	11·—	18	10·—	18	9·—	18	9·—
19	Wyka	19	6·—	19	5·—	19	4·50	19	4·50
20	Łubin żółty	20	5·—	20	5.—	20	5·—	20	5·—
21	Tymotka	21	25·—	21	24·50	21	20·50	21	20·—
22	Konicz czerwony	22	40·—	22	40·—	22	40·—	22	40·—
23	„ biały i szwedzki	23	55·—	23	50.—	23	45·—	23	45·—
24	Rzepak zimowy	24	9·50	24	9·—	24	8·50	24	8·50
25	„ letni	25	9·—	25	8·50	25	8·—	25	8·—
26	Lnianka (Lnica, Rżyj)	26	7·—	26	6·50	26	6·25	26	6·25
27	Konopie włókno	27	22·—	27	20·—	27	18·—	27	17·—
28	Nasienie konopne	28	9·50	28	8·—	28	8·—	28	8·—
29	Len włókno	29	24·—	29	23·—	29	22·—	29	21·—
30	Nasienie lniane	30	10·—	30	8·50	30	8·50	30	8·50
31	Mak	31	20·—	31	20·—	31	14·50	31	13·—
32	Kminek	32	15·—	32	14·50	32	13·—	32	13·—
33	Anyż rosyjski	33	16·—	33	16·—	33	15·50	33	15·—
34	„ płaski	34	20·—	34	20·—	34	16·—	34	16·—
35	Kartofle	35	1·80	35	1·50	35	1·30	35	1·20
36	Chmiel **za 50 kilo**	36	60·—	36	60·—	36	55·—	36	47·—
37	Łoza koszykars. 1-letn. z morga	37	40·—	37	38·—	37	22·—	37	22·—
38	Łoza koszykars. 2-letn. z morga	38	50·—	38	48·—	38	26·—	38	26·—

1. **Ceny ubezpieczone, a nie ceny targowe,** będą służyć w razie gradobicia za podstawę do wynagrodzenia. Wolno jest podawać do ubezpieczenia ceny niższe od wyżej oznaczonych; cen wyższych Dyrekcya do ubezpieczenia w myśl §. 11 statutu przyjąć nie może. — **Buraki cukrowe** mogą być ubezpieczone po cenie zakontraktowanej przez cukrownię.

Dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Z. Słonecki. **K. Scipio.** (Przedruku nie płacimy). **H. Kieszkowski.**

1111 1—1